Numer 17. Nal. poszt. opł. ryez. **Dnia 28 Kwietnia 1929**



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Chłop i baba.

Pokłócił się chłop z babą — zdarza się to często,
A wtedy brzydkie słowa lecą bardzo gęsto:
„Ty taka i owaka“ — „ty taki i owaki“.
I nieraz po przezwiskach następują znaki;
Krzyk, hałas, dzieci płaczą — psy po wsi szczekają —
A złośliwi sąsiedzi uciechę stąd mają.
Tak bywa i w narodzie, gdy wichrzy niezgoda,
Pożytku dla nikogo, a dla wszystkich szkoda.



Na stacji.

Wieśniaczka do synka.

— A zobaczno, Maciuś, kiedy ten prędki pociąg odchodzi stąd do Warszawy i kiedy tam staje?

Maciuś szuka długo na rozkładzie, nareszcie znajduje dwie następujące cyfry:

Odchodzi ze stacji 19:29.

Przybywa do Warszawy 19:59.

I powiada do matki:

— Słuchajta, matka. Pociąg odchodzi stąd w 1929, a przychodzi do Warszawy w 1959.

— O rety. Toć on wlecze się do stolicy całe trzydzieści lat. Nie jadziem.



Troskliwa pielęgniarka.

— Panie, panie! Niech-no się pan obudzi, bo już trzeba zażyć lekarstwo na sen.

To nic nie kosztuje.

Myślę o tem, żeby się wybrać na Wystawę do Poznania. Ile to kosztuje?

To nic nie kosztuje.

Jakto?

Tak, myślenie o tem nic pana nie będzie kosztowało.



Przyrodnik: „Złowione przez was ryby należą do rodziny karpiów“.

Rybak: „Nie zawracaj pan głowy. Ja je złowiłem, więc należą do mnie i do mojej rodziny“.



Co woli?

A.: — Czy woli pan, być miljonerem, czy chorym na tyfus?

B.: — Co za głupie pytanie?

A.: — Przecież, czem pan by chciał być?

B.: — Naturalnie miljonerem.

A.: — To niemądrze z pańskiej strony; miljonerzy muszą wszyscy umrzeć, a z chorych na tyfus umiera tylko 70 procent.

Numer 17. Rok XII. Kraków, dnia 28 Kwietnia 1929



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł. półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie;
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Pocz. Urząd Czek 500.868.

Wychowanie młodzieży.

Gdy trzeźwo myślący człowiek obserwuje życie znacznego odłamu młodych, to ból serdeczny krwawi mu duszę i mimowoli padają z ust słowa: Gdzieżeś Miłości niebiański aniele? Czemuś opuścił zbłąkanych tułaczy ziemi, gdzie mroków i brudów tak wiele — gdzie każdy krok już boleścią się znaczy, — boleścią, którą duch zawiści rodzi w dniach, kiedy winno wejść Słońce Odrodzin!

Boleść prawdziwa ogarnia duszę na widok moralnego zepsucia, które swą pleśń jadowitą rozsnuwa po glebie bratnich serc — szczególnie serc młodzieńczych, które winny jaśnieć blaskami pięknych cnót. Te serca, te dusze, które tak niedawno czyste i szlachetne zesłał Stwórca na ten świat — aby na obraz i podobieństwo Jego snuły promienną nić pielgrzymki życiowej, aby walcząc ze złem, skarbiły wszystko, co piękne i dobre — te dusze i serca jakąż obrały drogę? Czy rozpacz nie może ogarnąć silącego się na sumienną odpowiedź w tym kierunku?

Niestety, powiedzieć trzeba, że większość naszej młodzieży jest zepsuta, zdegenerowana, wyzuta z uczuć religijnych, z poczucia wstydu i godności osobistej! Cóż bowiem dzisiaj tak często spotykamy?

Na pierwszy rzut widzimy, że wzniosłe przykazania miłości Boga, bliźniego i Ojczyzny oraz szacunku dla starszych i ułomnych zostały wyrzucone poza nawias życia!

Dalej — wesela, zabawy i t. p. schadzki wieczorowe — oto pole do wyładowywania temperamentu przez czarne, wykolejone indywidua — zakały wsi! Noże, sztylety, rewolwery i t. p. narzędzia morderców — oto nieodstępni towarzysze tych wychowanków antychrysta! Oto środki do wywarcia szatańskiej zawiści i zepsucia tych ludzi, którzy dźwigać mają na swych barkach ciężar obowiązku, jaki przypada im w udziale jako przyszłym włodarzom państwa — dziedzicom spuścizny ojcowskiej!

Gdzież tkwią powody tej strasznej demoralizacji dusz?

Częściowo — skutki wojny. Ale przedewszystkiem są to naturalne skutki złego wychowania! Nigdy nie uwierzę, że natura (jak wielu twierdzi) wydaje na świat zupełnie zepsute jednostki. Nie! Każdy człowiek przynosi na tą ziemię pewne wady, ułomności duchowe czy fizyczne — ale i każdy posiada w głębi duszy większy czy mniejszy zasób inteligencji, szlachetności i ukochania dobrego...

Przez umiejętne, troskliwe wychowanie rozwija się w duszy dziecka zalety dobre, szlachetne — a zabija i wyplenia kiełkujące wady, które przez zaniedbanie umiejętnego wychowania wyrastają w potężne drzewo złego, rodzące owoc dla szatana — na hańbę rodzicom i społeczeństwu, a na obrazę majestatu Bożego!

Wychowanie rodzicielskie, jako najpierwsza orka na budzącej się do życia duszy, odgrywa w przyszłem życiu człowieka najdonioślejszą rolę i bezsprzecznie decyduje o stopniowym rozwoju właściwości duchowych w nadanym mu przez wychowawców kierunku. Dusza dziecka jest bowiem delikatna i podatna na wszelkie wpływy jak wosk, który przybiera kształty zależnie od woli i zdolności mistrza...

Jeżeli przeto rodzice, względnie wychowawcy z miłością macierzyńską pragnąc dobra i szczęścia dla swego dziecka, rzucają od najrańszych chwil w tą świeżą, zdrową i rodzajną glebę złociste ziarno miłości i bojaźni Bożej, ukochania wzniosłych ideałów Chrystusa — to niezawodnie mogą spokojnie umierać i stanąć na Sądzie Bożym z tą pewnością, że dziecko ich pójdzie przez życie drogą Prawdy, będzie miłem Bogu, a pożytecznem Ojczyźnie.

Rodzice — wychowawcy! Uderzcie się w piersi i zawróćcie z błędnej drogi złego wychowywania powierzonych Wam przez Opatrzność dzieci! W imię najświętszych ideałów zaklinam i błagam Was! Wy cudów dokonać możecie i musicie na polu odrodzenia i uszlachetnienia duszy narodu, który Was kiedyś błogosławić będzie — zamiast przeklinać prochy Wasze!

Wielką jest Wasza odpowiedzialność przed Bogiem i Ojczyzną, bo wielkie i święta są obowiązki Wasze.

Młodzieży kochana! Wierzę, że Wy, którzy się skupiacie w promiennych związkach oświatowych, wzrastacie jak kwiaty dorodne na polu pracy szlachetnej, owiani duchem ideałów Chrystusa — i promienne cnotami dusze składacie Ojczyźnie w ofierze — na ołtarzu obowiązku! Cześć Wam za trudy i pracę uszlachetniającą!

Ale czy możemy spokojnie przechodzić obok tych, którzy, chodząc luzem, toną w mrokach zgnilizny na bezdrożach życiowych?...

Do Czynu, bracia i siostry! Do Czynu, rodzice i wychowawcy! *Wojciech Byczek.*

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

ROZDZIAŁ II.

Walka.

We dworze jampolskim oczekiwano nadejścia Tatarów, a kiedy pierwsza łuna ukazała się na niebie, oczekiwanie to zamieniło się w pewność, w pewność nieuniknioną. Jakoż wkrótce od wsi zaczął dochodzić gwar, dudnienie, jakby tu i tam przewalały się jakieś wielkie zwały kamieni, jakby tysiące młynów puszczono gdzieś w oddali w pełny ruch. Z każdą chwilą gwar ten rósł, wzmagał się, potężniał i zaczął huczeć podobnie do nadciągającej burzy. A na niebie łuna coraz bardziej się rozszerzała, rosła i zbliżała ku dworowi.

Od czasu do czasu słychać było pojedyncze strzały. Widocznie oddawali je Tatarzy do każdego podejrzanego cienia, obawiając się zasadzki na kształt tej, jaką im urządził Makolągwa.

Wreszcie z okien dworu jampolskiego zobaczono pierwsze sylwetki nadjeżdżającej dziczy. Walek Jucha przyłożył krucicę do ramienia i chciał dać ognia, ale wstrzymał go pan Stawski, radząc, aby zaczekał, aż podejdą bliżej.

Nie trzeba było długo na to czekać. W jednej chwili cały dziedziniec zapełnił się jakąś straszną, poruszającą się masą żywą, a z setek gardzieli wydarł się straszliwy okrzyk:

— Ałłah, Ałłah!

— Pal! — zawołał pan Stawski i w tej chwili wszystkie okna dworu jampolskiego wypluły w masę tatarską grad pocisków.

Zawrzało i zakłębiło się na podwórzu; pierwszy impet był powstrzymany, gdyż dzika horda odskoczyła wstecz, a na ziemi wiło się w przedśmiertnych bólach kilku najeźdźców. Pierwszy sukces rozognił obrońców i dodał im otuchy. Mniemano, że pohańcy, przekonawszy się o niespodziewanej obronie, zaniechają swego zamiaru i pójdą sobie dalej. Ale nadzieja ta nie trwała długo, gdyż oni uskoczyli tylko, aby rzucić się ponownie jeszcze z większym impetem. Poskoczyli ku oknom, ale tu przywitano ich nową salwą ołowiu tak, że musieli znów ustąpić, aby się przygotować do nowego skoku.

Nie wszędzie jednak ustąpili, bo do okna, którego bronili Marcin Wardzała, Jasiek Malik i kilku jeszcze parobczaków, dobiegło kilku zręczniejszych Tatarów i poczęli kłuć w ciemną czeluść otworu.

Ale i obrońcy nie próżnowali. Nie mogli wprawdzie używać broni palnej, aby swoich nie razić, ujęli natomiast za widły i poczęli nimi kłuć napastników. Zwaliło się kilku na ziemię, kilku zalało się krwią obficie. Inni, widząc, że nie zdzierżą, ustąpili na kilka kroków, aby stamtąd sypnąć strzałami w wychylających się obrońców. Uprzedził jednak zamiar ich basista jampolski. Zoczywszy, że Tatarzy odstąpili na chwilę od okna, wysunął przez nie swoje basy, jakby z tego instrumentu muzycznego chciał zrobić zaporę przed możliwym atakiem, a potem sam wyskoczył na okno i w parę sekund znalazł się na podwórzu w pobliżu zgraji tatarskiej. Potężnymi dłońmi uchwycił za szyjkę basów, zakręcił nimi przed sobą młynka i puścił je na łby tatarskie. Tego nie spodziewali się Tatarzy, to też poczęli uchodzić przed niesamowitą bronią. Lecz basista nie ustawał w swej robocie: szedł naprzód, a u stóp jego padały rozbite łby tatarskie. Nie trwało to jednak zbyt długo, gdyż basy wskutek uderzeń zaczęły się kruszyć, łamać, aż wreszcie pozostała z nich w ręku basisty już tylko sama szyjka.

Biedny basista polecał już duszę Bogu, choć oczyma jeszcze upatrywał, którego z Tatarów ująć w swe potężne ręce i ze sobą pociągnąć na tamten świat, jako towarzysza. Ale obawy basisty były jeszcze przedwczesne, gdyż bezpośrednio za nim wyskoczyli oknem Marcin i Jasiek, oraz kilku odważniejszych parobczaków, dzierżący w rękach siekiery, widły i inne śmiercionośne narzędzia. Że ich dotychczas nie zużytkowali, to tylko dlatego, że wszystkich Tatarów zasłaniały przed nimi w ruch puszczone basy. Ale gdy te pękły, rzucili się młodzieńcy z całym zapałem na wroga i rozwalali łby, aż miło.

Lecz ich była tylko garstka, a miejsce poległych Tatarów zajmowali coraz inni i coraz więcej ich przybywało. Zguba bohaterskiej garstki zdawała się być nieunikniona i przewidywał ją pan Stawski, obserwujący całe zajście z innego okna. A mógł obserwować tem spokojniej, gdyż cała uwaga najeźdźców skierowała się na ten epizod walki, wskutek czego Tatarzy zaniechali chwilowo ataku na inne okna. Serce w nim zamarło na widok tych straceńców. Przyjście im z bezpośrednią pomocą było niemal niemożliwe, lecz ratować ich było rzeczą konieczną.

— Uchodzić z powrotem! — krzyknął pan Stawski i sam już gotował się do wyskoczenia oknem, aby stanąć przy boku tych, którzy zadziwili wszystkich swą odwagą.

Ale wieśniacy nie dopuścili pana Stawskiego do wykonania zamiaru. I dobrze zrobili, gdyż garść zuchów, posłyszawszy zapewne rozkaz pana Stawskiego, poczęła się wycofywać z pobojowiska i zbliżać ku oknu, przez które przed kilkunastu minutami wypadła na Tatarów. Cofali się, odpierając ciosy następujących na nich Tatarów. Wprawdzie nie obeszło się bez ofiar, gdyż garstka dzielnych chłopców zmniejszyła się o trzy osoby, ale reszta już dosięgła okna.

Na to czekał teraz pan Stawski. Wydał polecenie, a z sąsiednich okien posypały się strzały na napastników. To ocaliło cofających się, gdyż nim Tatarzy zdołali ochłonąć po danej salwie, byli oni już z powrotem w izbie wśród swoich towarzyszy.

Jednakże porażka jeszcze bardziej rozwściekliła Tatarów. Kiedy ostatni z obrońców przedostawał się przez okno, a był nim basista, całą gromadą rzucili się za nimi, a nawet jeden z Tatarów zdążył uchwycić za buta basisty i począł go ciągnąć z powrotem na pole. Przeczuł niebezpieczeństwo biedny grajek, ale nie tracąc animuszu, tak silnie kopnął Tatara, że temu zęby posypały się, jak groch na ziemię.

Mimo to byliby jednak Tatarzy wdarli się do izby za uciekającymi. Ale tu stała się rzecz, której najmniej się spodziewali. Oto z góry chlusnęły na nich gorące strumienie wody. To dziewczęta przyszły w sukurs uciekającym.

Zawyli Tatarzy z ogromnego bolu i z poparzonymi pyskami poczęli uchodzić z pod niebezpiecznego okna. A Basia, która była wśród dziewcząt i olbrzymi garn wody wylała na łby pohańców, pokazała im język na odchodne.

Czuli to jednak obrońcy, że sukces ten był tylko przejściowy i że czeka ich dalsza, nieubłagana walka na śmierć i życie. Czuli to i byli przygotowani na śmierć, gdyż postanowili bronić się do upadłego, wiedząc, że niewola tatarska stokroć straszniejsza od śmierci samej.

Jakoż po chwilowym odpoczynku Tatarzy przypuścili ponowny atak. Posypały się z okien znowu strzały, ale coraz rzadsze i rzadsze. Obrońcom zaczynało brakować nabojów. Poznali to napastnicy i poczęli coraz śmielej podstępować ku budynkowi. A choć jedni padali, nieubłagany Achmet pędził innych i coraz innych, nagląc, by corychlej kończyli rozpoczęte dzieło zniszczenia. Spieszyło się mu, gdyż obawiał się, aby jaki większy oddział wojska polskiego, które czuwało w tych niespokojnych okolicach, nie przeszkodził im w rozpoczętej robocie.

Tatarzy przypuścili więc atak z największą zaciekłością, na jaką ich stać było, przedewszystkiem do okna, przy którem stał pan Stawski. Domyślali się w nim dowódcy i jego chcieli najpierw ująć, sądząc słusznie, że wówczas obrona straci dotychczasowy swój zapał i łatwiej ją będzie pokonać. Przyskoczyło więc kilku Tatarów do okna i poczęło się nań wdrapywać. Źdźgnął jednego i drugiego pan Stawski, poszli za jego przykładem inni, ale w ich miejsce stawali nowi Tatarzy i kłując, czepiali się rąk i ubrań załogi. Ranny padł pan Stawski, poczęli się cofać jego towarzysze, a w ich miejsce do izby wdzierali się już Tatarzy i poczęli szaleć po swojemu.

Z ogólnego zamętu potrafiono jednak unieść pana Stawskiego do następnej izby, do której też wycofała się cała załoga, wprawdzie znacznie zmniejszona, gdyż kilku padło w zaciętej walce, a kilku zdołali Tatarzy ująć i wyprowadzić na podwórze, oddając ich w ręce swych towarzyszy.

Teraz przypuścili atak do drugiej izby. Pod naporem atakujących pękły wkrótce słabe drzwi i horda wsypała się przez nie z ogromnym wrzaskiem. Ciemne twarze Tatarów pałały żądzą mordu, pot zlewał ich czoła, a skośne oczy upatrywały za łupem w ludziach lub w mieniu. W izbie tej łupu tego było niewiele. Pozostało zaledwie kilkunastu parobczaków, którzy, gdyby się dali ująć żywcem, byliby cennym nabytkiem, ale na to się nie zanosiło. Chłopcy bowiem skupili się w jednym rogu dużej izby i oczekiwali ataku. Postanowili bronić nietylko siebie do ostatniej kropli krwi, ale i pana Stawskiego, którego tu ze sobą unieśli i złożyli poza swoimi plecami na stojącym tapczanie.

Tatarzy, którzy i tu spodziewali się zaciętej walki, przystanęli na chwilę na widok stojącej spokojnie gromadki chłopaków. Przypuszczali, że ci oddadzą się im teraz w niewolę bez oporu.

— Brać ich! — krzyknął najstarszy z napastników.

— Spróbuj! — odezwał się głos z gromadki.

Wyciągnęło się rąk kilkoro ku skupionym, ale w tej chwili opadły z powrotem smagnięte ostrym ciosem. Nie zraziło to jednak napastników. Już teraz całą gromadą rzucili się w kąt izby, gdzie stała garść straceńców. Zwarło się ciało z ciałem, pazury z pazurami. A jeżeli te musiały pozostać w chwilowym bezruchu, gdyż jedne drugich przemódz nie mogły, szły im w sukurs zęby, gryząc i kalecząc, co gdzie się dało. Cała izba zapełniła się jakąś bezkształtną masą, rozlała się po niej i kotłowała i zmagała się i gięła, jak gdyby jakiś wicher przygniatał ku ziemi potężne konary drzew. Słów żadnych nie było, a ino sapanie walczących ze sobą i charczenie tych, którzy ostatnie tchnienie w straszliwym uścisku wroga oddawali.

Ale gdy głów tatarskich coraz więcej było widnych w tym krwawym zamęcie, to głowy obrońców przerzedzały się niemal z każdą minutą. Aż wreszcie ostatnia wybłysła na chwilę i zapadła wśród czarnej masy.

W izbie tej zwycięstwo Tatarów było zupełne; czterech z młodzieży jampolskiej leżało skrępowanych na ziemi, reszta pożegnała się z tym światem na zawsze.

Pan Stawski leżał omdlały na szezlongu nie napastowany przez nikogo.

Podobne sceny rozgrywały się i w innych izbach. Kto nie padł pod ciosami najeźdźców, ten kładł się skrępowany, aby pójść w straszniejszy jasyr od śmierci samej. Ale takich było niewielu, gdyż Tatarzy krępowali tylko tych, którzy byli zdrowi i silni, a tacy woleli raczej ginąć, niż dać się ująć. Starszych i słabszych mordowano bez litości.

Gdy sceny te rozgrywały się na dole, na stryszku skupiła się gromadka dziewcząt, w trwodze przeogromnej o siebie i o swych najbliższych. Były między nimi: Hanusia, Basia, Ksenia i przodownica Marcysia, była też Jadwinia Skowrońska, kuzynka państwa Stawskich, która tu do nich aże od Warszawy w odwiedziny przyjechała. Dopóki Tatarzy nie wdarli się do wnętrza budynku, dziewczęta spodziewały się, że jakoś napad uda się odeprzeć i że wszystko skończy się szczęśliwie. Może najwięcej otuchy miała w sobie Hanusia, która liczyła na to, że jej Stach nadciągnie w sam czas z Lipkami, że wsiądzie im na karki i ocali oblężonych. Ale gdy walka się przeciągała i Stacha nie widać było, strach ją zaczął obejmować, nie tyle może o siebie, co o jej rodzicieli ukochanych, o losie których nie miała żadnej wiadomości. Nie wiedziała biedaka, że matka jej legła już z rozpłataną głową, a ojciec bezprzytomny spoczywa, nie mogąc ani sobie, ani nikomu przyjść z pomocą.

Dziewczęta skupiły się na stryszku i poczęły odmawiać rzewliwą modlitwę, prosząc Najświętszą Panienkę o pomoc i dla siebie i dla tych, którzy się tam na dole zmagają z okrutnym wrogiem. Modlitwę tę przerwał im jednak Walek Jucha, który, oblany cały krwią, wpadł między wylęknione niewiasty.

— Uchodźcie! — szepnął przyciszonym głosem, aby głośniejszemi słowy nie ściągnąć tutaj Tatarów. — Uchodźcie, gdyż wszystko przepadło! Tatarzy grasują w całym dworze, obrońcy leżą porżnięci lub, jak barany powiązani.

Zerwały się dziewczęta i szły za Walkiem, który sprowadzał je wąskimi schodami, prowadzącymi ku piwnicom. Za dziewczętami szedł Michał Maciaszek, chłop jak dąb, który przybiegł tu za Walkiem, aby stanąć wrazie potrzeby w obronie dziewcząt, a szczególniej przodownicy Marcysi, z którą już od dwóch miesięcy byli po słowie.

Walek dobrze znaną sobie drogą przeprowadził dziewczęta ku piwnicom, leżącym o kilka kroków od dworu. Drzwi piwnic były jednak zamknięte. Przysadził się do nich Michał, ale nie mógł im dać rady. Pomógł mu jednak Walek i wspólnymi siłami pokonali zaporę.

Gromadka uciekinierów poczęła się zapuszczać w głąb lochu, nie przeczuwając nawet, że ich spostrzeżono. Pierwszy szedł Walek, za nim dziewczęta, a po ostatku pozostał Michał, jako straż tylna. Walek i dziewczęta zeszły jakoś szczęśliwie, nie powiodło się to jednak Michałowi, który poślizgnąwszy się na oślizgłym kamieniu, rozciągnął się, jak długi na schodach. Podniósł głowę, aby się podźwignąć, gdy wtem zobaczył nad sobą błyszczące ślipie Tatara. Nie namyślając się wiele, chwycił nieproszonego gościa za nogi i gruchnął nim w głąb piwnicy. Równo z odgłosem

upadającego ciała dał się słyszeć ryk poturbowanego Tatara, który jednak momentalnie przemienił się w ciche harczenie, a wreszcie ścichł zupełnie.

To Walek, domyśliwszy się, o co chodzi, wziął szyję jego w śmiertelne uściski.

Za pierwszym Tatarem poleciał drugi i trzeci, a za nimi jeszcze inni, których Walek naliczył wreszcie dziesięciu. Spostrzegli ci na górze, że dzieje się tu coś niesamowitego, więc poczęli nawoływać swych towarzyszy, a gdy nie otrzymali żadnej odpowiedzi, nie wątpili, że wpadli w zasadzkę na nich przygotowaną. Zaprzestali więc schodzenia w głąb pojedyńczo, ale wypuścili w ciemną paszczę piwniczną szereg strzałów, z których jeden dosiągł biednego Michała i położył go trupem.

Tatarzy, wyczekawszy znów kilka minut, poczęli schodzić do piwnicy. Pierwszy z nich uszedłszy zaledwie kilka schodów, natknął się na trupa Michała. Kopnięciem nogi strącił go w dół i szedł dalej. Za nim postępowali inni. Kiedy pierwszy znalazł się przy końcu wąskiego korytarzyka, natknął się na Walka, który, chociaż broni nie posiadał żadnej, postanowił nie ustępować ani na krok. Zoczywszy przed sobą kosookiego Tatarzyna, palnął go podniesionym poprzednio gdzieś z ziemi kamieniem między oczy i jednem tem uderzeniem życia go pozbawił. Ten sam los spotkał jeszcze dwóch innych, ale pozostali rzucili się ku Walkowi całą gromadą, zepchnęli go w głąb piwnicy i nim zdołał jakikolwiek ruch obronny wykonać, leżał skrępowany obok trupów poległych Tatarów.

Bezbronne teraz dziewczęta dostały się w ręce tatarskie, a nie miał się kto za nimi ująć, gdyż część Jampolan leżała pomordowana, garstka mała czekała na niepewną przyszłość z powiązanemi rękami i nogami, a tylko niewielu zdołało ujść przed pogromem w okoliczne lasy.

O Stachu i jego Lipkach nie było ani słychu!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Czy w Polsce jest źle?

Jeden z naszych Czytelników, przebywający obecnie w Chicago w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, poruszył w liście do nas kilka kwestyj, na które musimy nieco obszerniej odpowiedzieć. Czynimy to i dlatego, że nie jest to list pierwszy z obczyzny, omawiający te sprawy i że również z kraju otrzymaliśmy już podobne uwagi.

A więc najpierw treść listu. Otóż korespondent nasz zarzuca rządowi polskiemu 1) że rząd polski nie stara się o zapewnienie, ażeby oszczędności emigrantów nie przepadały w kraju, jak to było dotychczas; 2) że w Polsce jest zbyt dużo emerytów, których rząd polski żywi i dba, aby oni żyli wyśmienicie; 3) że na kolejach i w starostwach urzędnicy traktują chłopa w sposób ordynarny; 4) że obecnie nawet po najmniejszych wioskach buduje się szkoły, aby było więcej nauczycieli i aby panny nauczycielki na przechadzkach czas spędzały, że dawniej np. w Zembrzycach 300 do 400 dzieci uczyło 3 siły nauczycielskie, a teraz jest ich tam 5 czy 6; wreszcie że jedni mienie i życie swe kładą za Ojczyznę, a drudzy, co najwięcej krzyczą: „Bądź patrjotą!“ tuczą się Polski skarbem i narodu mozolnym groszem i krwawą pracą.

Taka jest treść owego listu, a ponieważ podobnych listów dostaliśmy więcej i ponieważ korespondenci nasi twierdzą, że takie jest ogólne przekonanie naszych rodaków na obczyźnie, przeto postaramy się te kwestje obszerniej wyjaśnić.

Czyniąc rządowi polskiemu jakiekolwiek zarzuty, rządowi temu, który obecnie jest, lub tym, które dawniej były, trzeba koniecznie pamiętać, że Polska powstała z niczego. To znaczy, że gdyśmy uzyskali wolność, nie mieliśmy nic, a więc ani wojska, ani pieniędzy, ani wogóle nic, co może dawać podwaliny państwu, a zwłaszcza państwu, posiadającemu tak liczną ludność i tak duże rozmiary. Polska została utworzona z trzech zaborów, które miały oddzielne prawa, oddzielny ustrój i najrozmaitsze przyzwyczajenia. Mieliśmy do 30 miljonów ludności i kilkaset tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi, mieliśmy mniej lub więcej ustalone granice, ale nie mieliśmy jeszcze Polski: to był tylko materjał na Polskę, ale dopiero z niego trzeba było tę Polskę utworzyć. A jak się to robi, o tem nikt z nas nie miał pojęcia, bo trzeba to przyznać, wolność zaskoczyła nas niemal niespodziewanie. Trudno było przedtem praktykować, trzeba się było wziąć odrazu do roboty.

I robotę tę rozpoczęto z miejsca, ale oprócz garstki ludzi szlachetnych, mających rzeczywiście na oku dobro swych współbraci, dostali się też na kierownicze stanowiska ludzie, którym nie o dobro społeczeństwa chodziło, ale o własne korzyści. I ci drudzy właśnie tym pierwszym, zamiast pomagać, utrudniali pracę. Wprawdzie na czele narodu stanął mąż tak nieposzlakowany, jak Marszałek Piłsudski, ale gdyby on był jeszcze większym genjuszem, jak jest, to przecież nie mógł sam wszystkiego zdziałać.

Do pierwszego sejmu polskiego dostała się znaczna liczba nieuków, karjerowiczów, którzy wszelką dobrą pracę utrudniali, aby tem łatwiej ciągnąć z tego dla siebie korzyści. Wobec tego trzeba było nietylko tworzyć Polskę, ale jej jeszcze przed własnymi jej wyrodnymi synami bronić.

W wielu wypadkach się to udawało, ale nie we wszystkich. I do tych ostatnich należy właśnie sprawa oszczędności naszych emigrantów, przesyłanych do kraju, które tu potracili. Było to nieszczęściem dla nich, ale nieszczęście to już minęło i więcej się nie powtórzy.

Do takich nieszczęść należała również sprawa waloryzacji oszczędności przedwojennych. Ten i ów pracował, oszczędzał i składał do kasy. Uzbierał sobie kilkaset czy kilka tysięcy koron na czarną godzinę. Wyszła ustawa waloryzacyjna i najpracowitsi ludzie z zamożnych stawali się żebrakami. Ale to nie rząd winien lecz samo społeczeństwo, że wybierało posłami nie ludzi mądrych, lecz durniów, którzy stali się pośrednio złodziejami cudzego mienia.

Lecz i ta sprawa należy już do przeszłości i więcej się nie powtórzy.

Drugi zarzut, że w Polsce jest zbyt dużo emerytów, jest również słuszny. Ale trzeba znów odpowiedzieć sobie, dlaczego? Otóż gdy Polska zmartwychwstała, brak nam było ludzi, którzyby tą Polską władali. Pierwsze nasze rządy brały każdego, kto się pod rękę nawinął, obsadzano nimi nawet bardzo ważne placówki. Wystarczała nieraz znajomość czytania i pi-

sania, aby się dostać do ministerstwa oświaty. Grały tu wielką rolę i protekcje. N. p. pierwszym kuratorem szkolnym krakowskim został człowiek, który się tylko tem odznaczał, że był w łaskach u jednego z ówczesnych potentatów państwowych. Zaśmiecono nasze urzędy. Trzeba było później zrobić z tem porządek. Trudno jednak było wyrzucić zupełnie ludzi na bruk, których się od ich właściwej pracy odciągnęło. Musiano im dać emeryturę. A że przy tem czyszczeniu i niejednego niewinnego czyszczenie to dotknęło, to już trudno: gdzie drzewo rąbią, tam trzaski lecą.

Inna rzecz, że i dziś zdarzają się wypadki, że tam ktoś, gdzieś, otrzyma nawet kierownicze stanowisko, chociaż jedynemi, wybitnemi jego zaletami jest skłonność do kieliszka, podczas gdy ludzie naprawdę zasłużeni przy nominacjach takich bywają pomijani. Trudno: byli, są i będą szubrawcy, ale to nietylko w Polsce, lecz i w całym świecie. (Dokończenie nastąpi).

ZA PŁUGIEM.



Od piastowskich czasów
Rolnik ziemię orze
I nuci piosenkę:
»Pobłogosław, Boże!«...

Od wieków jej łono
Pług piastowski kraje,
Od wieków nam ona
Chleb powszedni daje.

Pobłogosław Boże,
Tej pracy na roli,
Ona nam chleb daje
I goi — co boli...

St. G.

Modlitwa złodzieja.

(Opowiadanie prawdziwe.)

A było to tak: Stary Wojciech, gospodarz siedzący na kilkunastu morgach ziemi, przyszedłszy dnia pewnego do stodoły, spostrzegł z przerażeniem, że kupa omłóconego już zboża, leżącego na boisku, stała się jakoś mniejsza, choć drzwi od stodoły były dobrze pozamykane i nie było żadnego śladu, by ktokolwiek zboża ubierał.

— Czy mi się zdaje, czy jest w tem coś — pomyślał sobie Wojciech i postanowił na przyszłą noc zostać w stodole, aby upewnić się co do swoich podejrzeń.

Gdy nadszedł więc wieczór, zjadłszy Wojciech kolację i zabrawszy z sobą odzienie, poszedł wolno do stodoły, i pozamykawszy z wewnątrz drzwi, ułożył się w zapolu w takiej pozycji, by nie być widocznym dla nikogo, ale żeby widzieć dobrze, co się dziać będzie w stodole.

Leży więc sobie Wojciech, leży, ale nic nie słychać, ani widać, choć w stodole jest dość widno, bo księżyc świeci na dworze i przez szczeliny ścian przeciska swoje jasne promienie.

— Chyba to mi się tylko zwidziało, że zboża jest mniej — myśli znowu Wojciech i ogarnia go słodki, beztroski sen, w którym zaczyna zapominać o wszystkiem. Ale w tej chwili koło bramy coś stuknęło i zaszeleściło cicho: Wojciecha sen w mig opuścił i z zapartym oddechem dalejże nadsłuchiwać pilnie i patrzyć, czy się kto nie zjawi.

Kilka minut zeszło w natężonem oczekiwaniu, aż patrzy wreszcie Wojciech, a tu z nocnych mroków wysuwa się człowiek z workiem pod pachą i ostrożnie przystaje około kupy zboża.

Po chwili też rozgląda się na wszystkie strony trwożnie i rzecze głośno z westchnieniem:

— Ach Boże, strzeż mnie od złego człowieka i pozwól, bym wziął spokojnie tę trochę zboża do worka.

— Oho! — pomyślał Wojciech, słysząc modlitwę złodzieja. — Toś ty taki dobry, a ja to niby mam być tym złym człowiekiem, od którego chcesz, by cię ta Pan Bóg obronił? A no zobaczymy.

Złodziej tymczasem przyklęknął i dalejże zboże nasypywać do worka.

— Nasyp pełny worek — myśli znów Wojciech — to wtenczas dopiero pogadamy i zobaczysz, czy cię Pan Bóg ustrzeże od złego człowieka.

I patrzy sobie Wojciech spokojnie, kiedy to worek będzie pełen i kiedy ze złodziejem będzie się mógł porachować. Ale powoli, powoli, coś mu się zaczyna w oczach mącić, a w głowie powstają jakieś niejasne majaki. Słyszy jeszcze szelest nasypywanego zboża do worka, ale jakoś już niewyraźnie, jakby mu głuszył cichy szept modlitwy złodzieja: „Boże strzeż mnie od złego człowieka“.

Po chwili ogarnia go nieprzezwyciężony sen, w którym zapomina na amen o czatach swoich na złodzieja i o zbożu sypiącym się w tej chwili do worka tegoż złodzieja.

...Pfij — pfium! — gwiżdże spokojny oddech Wojciecha i rozlega się aż do dnia po pustej stodole.

Gdy błysły wreszcie, przez szczeliny ścian, pierwsze promienie wschodzącego słońca, rozbudzony Wojciech otworzył oczy i oprzytomniawszy, zerwał się na równe nogi. Wzrok jego padł też najpierw na kupę zboża, która znacznie się nocy tej umniejszyła. — Splunął więc i zawołał:

— A tom ładnie przypilnował, niema co! złodziej umknął ze zbożem, a ja se spałem na dobre! A bodajże cię!

Ale chwilę pomyślawszy, dodał:

— Ha, widać, że i złodzieja Pan Bóg wysłucha, kiedy się do Niego szczerze pomodli. Ano, niechże mu ta będzie na zdrowie.

Kachna Ł. Łza.



MACIEK BZDURA GADA:

Juzem myślał, ze tego roku całkiem Poniezus o tem świecie zapomniał i ze juz pewnikiem, ani wiesny ani lata nie będzie. Bo gdziesik od godnich świąt jaze do połowy kwietnia były ino same mroziska, wietrzyska, śniezyska, a ino je casem przegradzały i to nie wiele chlapiska i błociska. I tak bez cały ten cas zdawało mi się, ze się Poniezus na nas pogniwał i pojechał gdziesik do Hameryki, abo gdzieindziej i o nas całkiem zapomniał. Co prawda, to prefesur powiadali, ze nie ino u nas, ale na całem świecie panowała taka zimniara, ale i oni, choć człek ucony, nie mogli mi tego wyjśnić, lacego tak jest, a nie ciepło. Dopiero wszystkiego dokumentnie dowiedziałem się od jegomości.

Powiadają mi jegomość:

— Głupiś ty Maciek, kiedy się o takie rzecy pytas! Przecie to kuzden człowiek musi wiedzieć, lacemu jest takie zimno, a nie ciepło. Nie wie ino ten, kto nie chce wiedzieć. Jakbyś się tak przejechał do którego miasta i popatrzył na tamtejse kokoski, tobyś wiedział zaraz, lacego jest zimno na świecie. A nie trza nawet jechać do miasta, bo i na wsi teraz juz się rozpanosyła taka obraza boska.

Nie wiedziłem, do cego jegomość piją, bo u nasego jegomości, to wszyćko grzych. Ukradnies, to grzych, upijes się, to grzych, ozenis się i walis babę palicą, to grzych, nie ozenis się, ale gonis za dzieuchami, to takze grzych. Wszyćko grzych i grzych. Myślałem więc, ze i zimno a śniezno, to takze grzych. Ale jegomość tak dalej prawili:

— Jak się popatrzys na teraźniejse dzieuchy, albo i zeniate kobity, to coze, nieboraku, ujrzys: gołe łapiska i podstrzyzoną pałę! Nie wiadomo, co to jest: strach na wróble na dwóch tyckach, cy zyjąca istota? A na tem cóze jesce zuźrys? wąziusieńka spodnicka, ze omal z tego pośladek na ulicę nie wyleci, i jakze tu ma być dobrze na świecie? Zuźrał to Poniezus i powiada, co źle jest między ludźmi i trzebaby złemu zaradzić. Wiedziałci On, ze rozmaici ludzie uceni powiadali, ze takie ubiranie się nie jest ani zdrowe, ani ładne, ale ktoby tam baby przekonał! Sumituj się, przysięgaj, konaj nawet w ich ocach, to one zawse powiedzą, ze cyganis. Toze i tem mądrem ludziom nie wierzyły, ale padały, ze dobrze jest, ze zdrowo jest i ze jest ładnie. Tak tedy Poniezus wziął się na sposób i powiada: „Pocekajciewy, makolągwy, dam ja wam na świecie takie zimno, ze się wam odniechce świcić gołemi łydkami!“ I zesłał te mroziary, które piekły, scypały, paliły po ręcach, nogach i usach, ale baby powiedziały se, ze nie i nie, i nie ustąpiły. Pomyślał se Poniezus: Co się będę z głupiemi darł i choć je wytrzymał, ale w końcu ustąpił i dał zwiesnę. Mozeby był nie dał, ale zal mu się zrobiło i ludzi, którzy bez babski upór cierpieli. Jeden ino z tego był pozytek, bo bez te zimę wszyćkie babskie pchły do cna wyzdychały i jak powiadał japtykarz na przysłość będzie ich mozna dostać ino w japtyce w prosku i to po dziesięć złotych za deko.

Ha no! Kiedy jegomość tak gadali, to ono musiało tak być, a nie inacej, choć ja na swój rozum trochę odmiennie sobie to tłomacyłem. I mnie się widziało, ze powodem zimniska, to takze baby, ale nie mieściło mi się w głowie, zeby się do takich rzecy jaze Poniezus misał. Ja se to kalkulowałem tak: Jak baby nosiły długie spodnice, a miały ich na sobie pięć i sześć, to bez całe lato tyle w nie ciepła narobiły, ze starcyło go nie ino na jesień, ale i na zime podostatkiem pozostało. Nie miało którędy ujść, bo wszędzie było zatkane na amen, a z wirzchu przykrywała plecionka z warkoców, jak młyńskie koło u wozu. Jak taka baba wysła na pole, to śnig tajał od niej i robiło się ciepło, a mróz uciekał, gdzie pieprz rośnie. Dawniej jedna baba potrafiła cały regiment wojska rozgrzać, a dzisiaj jeden człowiek nawet przy stu babach moze sobie palice, albo co gorsiejsego odmrozić.

Franek od Furgaca to powiadał,ze taką zimniare same baby se u Pana Jezusa wyprosiły. Jem się widziało, ze jak będzie zimno, to ten i ów pośturkac, co to teraz poproźnicy cas traci, skoro zziębnie, to się będzie chciał cemduchu przy babie rozgrzać i poleci do jegomości z pacirzami. Ale zawiodły się bardzo, bo kuzden przecie wiedział, ze przy takiej podgolonej od góry i od dołu babie nie będzie się nijak mógł zagrzać, ale jesce bardziej zziębnie. I bez to właśnie tej zimy nie było u nas ślubów wcale, a i chrzcin niewiele.

Zreśtą, jak było, to było, ale się juz zbyło: zimniary uciekły, słonecko przyświeciło i zrobiło się cieplej. Zwiesna zrobiła się nie ino w całej Psej Wólce, ale i dalej w kraju, a wszędzie kwiatki śpiwają, kwitną ptaski, a pono nawet juz i bociany przyleciały, to choć ślubów nie będzie, to przynajmniej na krzcinach człek się jako tako rozweseli.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Indje III.

Nad Gangesem, pomiędzy Delhi a Kalkuttą, leży święte miasto hinduskie, Benares. Jest to najwięcej typowe miasto ze wszystkich miast olbrzymiego półwyspu. Widzi się tu rasy, ludy i plemiona ze wszystkich stron Indyj. Europejczyków brak tu zupełnie. Jedynie turyści zajeżdżają tu od czasu do czasu. Nieopisany urok rzuca to miasto na każdego, kto tu zajrzy. Urok czegoś, nie widzianego nigdzie, czegoś w najfantastyczniejszych snach nie wyśnionego, czegoś nieprawdopodobnego, tajemniczego, okropnego, a tak starożytnego, jakby to z dawniejszych jeszcze pochodziło czasów, niż najstarsze zabytki Egiptu.



Benares. — Kąpiele rytualne.

Główną ciekawością dla turysty jest rzeka, jej otoczenie i życie religijne na jej brzegu, na kamiennych, zstępujących do wody schodach i w samej wodzie. By dobrze widzieć i dobrze odczuć te widoki, te czary, ten odrębny świat pogański, pełen ruchu, życia, uroczystości, dziwnych jakichś religijnych uniesień, praktyk i obrządków, trzeba o wschodzie słońca wsiąść na łódź z szerokim, płaskim pokładem, siąść na niej twarzą do brzegu Benares i płynąć zwolna, o ile możności jak najbliżej kamiennych schodów i kąpiących się uroczystych tłumów. Pływać tak można po rzece, tam i napowrót, całe długie godziny, nie odwracając oczu od tłumnych brzegów; można zapomnieć o posiłku i o palącem coraz mocniej słońcu, zapamiętać się całkiem wśród oryginalności tych widoków.

Najbardziej zajmującą jest święta kąpiel przy schodach, zbiegających do wody. Każdy z biorących udział w obrządku, a widzi się ich dziesiątki tysięcy równocześnie, opłaca się najpierw siedzącym na górnych stopniach schodów, pod dużymi, trzcinowymi parasolami, braminom. Rzuca swą ofiarę z wonnych, białych kwiatów ze schodów do wody, a następnie, zaczerpnąwszy rękę wody, zwilża nią czoło, oczy i usta. Potem modli się z oczyma wzniesionymi w górę, stojąc na jednej, to na prawej, to na lewej nodze, poczem upada i całuje święte schody. Następuje uroczysty ukłon na wszystkie cztery strony świata. Dalej, patrząc w niebo, zaczerpuje wody z rzeki w święte błyszczące naczynie z polerowanego mosiądzu i wylewa powoli, poruszając ustami. Wreszcie wstępuje do rzeki, pije dłonią wodę Gangesu, zanurza się z głową, trwa chwilę w wodzie po szyję i wychodzi powoli, namazując ciało mułem rzecznym.

Taką właśnie rytualną świętą kąpiel widzimy na naszym pierwszym obrazku. Dla ścisłości trzeba jeszcze dodać, że schodów świętych, prowadzących do rzeki, jest całe dziesiątki, a każde odmienne i otoczeniem spiętrzonych fantastycznie budowli i typami ludzi, którzy na nich siedzą i z nich się kąpią. Każde plemię, każda sekta ma swoje osobne schody, zwane ghatami.

Najsławniejszymi i najświętszymi schodami są schody Manikarnika ghat, tak malownicze, że trudno od nich oczy oderwać. Są to schody palenia zwłok i ostatnich grobowych obrzędów. Widzimy je na drugim naszym obrazku w chwili, gdy Hindusi podniecają ogień pod położonymi na nich zwłokami.

Benares jest dla Hindusów miastem świętszem aniżeli Mekka dla mahometan, bo tu nie jedna świątynia, nie jedno miejsce, lecz całe miasto i ziemia i powietrze i woda Gangesu jest świętą. Tym, którzy mają szczęście umrzeć w tem mieście lub okolicy, skąd miasto widać, czy są wyznawcami którejkolwiek z licznych sekt hinduskich, czy mahometanami, czy chrześcijanami, choćby byli kłamcami, złodziejami i mordercami, odpuszczone są w chwili śmierci wszystkie grzechy: czyści idą do nieba Sziwy, uwolnieni od dalszych wszelkich wcieleń. Bo religja ich powiada, że dusze zmarłych celem odpokutowania za grzechy wstępują w ciała innych ludzi, biedniejszych, a więc narażonych na większe przeciwności życiowe. Jeżeli zamrze ktoś, kto posiadał więcej zasług, aniżeli grzechów, to dusza jego wstępuje w ciało człowieka bogatszego, a tylko dusze ludzi zmarłych bez grzechu, lub zmarłych w Benares lub jego okolicy idą wprost do nieba Sziwy i już nie podlegają żadnemu wcieleniu. W taką wędrówkę dusz wierzą wyznawcy Budy i dlatego to miejsce ich święte ma takie powodzenie.

Ciała osób zmarłych, jak to już Czytelnicy zapewne się domyślili, podlegają spaleniu. Grabarze kładą trupa na schodach, prowadzących do Gangesu. Jeżeli jest bogatszy, układają go na niższych stopniach, jeżeli biedniejszy na wyższych. Na przygoto-



Benares. — Palenie zwłok.

wany stos rzucają trupa, jak kłodę drzewa, i przykrywają go patykami. Jeden z grabarzy zapala łuczywo, ale nim nastąpi podpalenie stosu, musi ktoś z najbliższych krewnych dopełnić strasznego obrzędu rozbicia czaszki trupa. Dopiero potem podpalają stos. Dym, swąd przypalonego ciała, ogień i w pół godziny już po całym obrzędzie pogrzebowym. Grabarze rzucają popiół i niedopałki w święte nurty Gangesu.

Zaciekawi może niejednego, jaki cel ma owo rozbijanie czaszki trupa. Otóż Hindusi wierzą, że dusza złego człowieka w chwili podpalania stosu wychodzi przez dolny otwór, dusza zaś uczciwego wyjść może z czaszki tylko przez otwór, powstały w głowie wskutek rozbicia czaszki. To też ujście tej duszy musi ułatwić ktoś najbliższy z rodziny, a więc najstarszy syn rozbija czaszkę ojca, aby tem okazać synowską czułość swojemu rodzicielowi.

Bywają dnie, że na świętych schodach Gangesu płonie kilka i kilkanaście ognisk, pożerających śmiertelne szczątki pomarłych. (Ciąg dalszy nastąpi).

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

Iza piła pożądliwie spieczonemi ustami, chłodny napój.

— No, no zalewajcie się mleczkiem jak niemowlęta, niby naigrawał się jowialny jegomość.

Gdy Iza przyszła trochę do siebie, opowiedziała swym opiekunom swoją historję.

Ogromnie się zmartwili i gorąco z nią współczuli. Potem zapytali jej, czy ma kogo znajomego w mieście; otrzymawszy odpowiedź odmowną, obiecali się nią zająć.

Gdy przybyli do miasta, jegomość wyszukał dla niej miejsce w domu zdrowia, następnie dał jej sporą paczkę banknotów, aby miała czem opłacić pobyt.

Żegnając ją, zaprosili ją do siebie, do farmy, o ile tylko wróci do zdrowia.

Iza podziękowała im serdecznie za opiekę.

Następnego dnia, siedziała Iza w kącie sofy. W jej głowie tłukło się, rozpierało puls.

— Chwilkę tylko miss, — zawołała dozorczyni, — doktór Kastor zaraz nadejdzie.

— Kto ten pan? — zapytała Iza.

— To lekarz z naszego zakładu, — odrzekła gadatliwa kobieta, — bardzo lubiany między chorymi, on też pani spodoba się pewnie.

Iza nie rzekła nic.

Po chwili, drzwi bocznego pokoju otwarły się, — smukły, elegancki mężczyzna ukłonił się na przywitanie i rzekł głosem donośnym:

— Śmiem prosić, miss!

Podniosła się mechanicznie, dozorczyni poskoczyła jej z pomocą i wprowadziła ją do pokoju lekarza.

Po gruntownem zbadaniu lekarz polecił ją umieścić na sali chorych i obiecał jej troskliwą opiekę.

Iza w ciągu choroby, raz okropnie majaczyła, zrywała się, chcąc biec na ratunek swej ukochanej Liddy, innym razem zaś, zapadała w sen martwy...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Mała zaś istotka, którą wśród gorączki, wspominała Iza, była w opiece uczciwych ludzi.

Byli to farmerzy, ludzie bezdzietni, którzy za prawdziwą opatrzność uważali Liddy, znalazłszy ją zapłakaną w lesie.

Farmer zatrudniony pracą koło domu i w polu, szczęśliwy był, gdy wrócił do domu i widział maleńką Liddy wesołą i uśmiechniętą.

Żona zaś jego, dbała o nią, jak o jaką księżniczkę, pieściła i tuliła, modląc się często, przed obrazem Bożej Rodzicielki, aby wróciła kochanemu dziecięciu własną matkę.

Poczciwa kobieta, nie myśląc o sobie, pragnęła tylko szczęścia dzieciny.

27. Przebiegłość zwycięża.

Sam on siedział w płaszczu portjera w tegoż loży, a murzyn tronował sobie z podwiniętym kołnierzem na koźle jednego z powozów parę kroków od gospody.

Planem pułkownika było schwycić Nordena przy wyjściu z hotelu, podprowadzić do powozu i tu go zakuć.

W ten sposób uniknąć można było zbiegowiska i miało się złoczyńcę w swej mocy.

Siódma godzina rano. Ktoś schodzi po schodach na dół. Norden?

Kelner w portjerskiej loży spojrzał uważnie.

— Dzień dobry mister Hadwell! Już tak rano do miasta?

Zapytany kiwnął głową.

Podniósł kołnierz wysoko, bo było zimno, szeroki kapelusz farmerski wcisnął na głowę głęboko.

— Przyjdzie pan na śniadanie?

Znowu kiwnął głową.

— Kto ten pan? — zapytał pułkownik.

— Mister Hadwell jeden z najzamożniejszych właścicieli realności w okolicy, odpowiedział kelner.

Naraz dał się słyszeć okropny krzyk z góry.

Kelnerzy, słudzy, portjer lecą do góry.

W drzwiach pokoju stoi Hadwell tylko w bieliźnie i wrzeszczy na parobka:

— Do stu djabłów! gdzież moje ubranie? Chcę iść!

— Ubranie? — pyta wystraszony posługacz. — Jeszczem go nie brał.

— Jak to, złodzieju, nie u ciebie, a gdzież?

— Nie wiem, bełkotał sługa.

— Czekaj psie, ja ci dam! — i rzucił za nim stołkiem.

Posługacz schylił się, stołek poleciał na korytarz.

Mister Hadwell wpadł do pokoju, coś mu teraz padło na myśl.

Szukał pugilaresu, nie znalazł go.

— Okradli mnie! Jestem zrujnowany, — wrzeszczał i rzucił się na stojących naokoło.

— Wy draby, — psy, — wyście mnie okradli!

— Ale mister Hadwell, — upominał się o swój honor kelner.

— Oddajcie mi, podłe draby, moje pieniądze, bo was powystrzelam!

Lecz rewolweru nie znalazł. Pędził za sługami, którzy w panicznym strachu uciekali przed nim.

Gospodarz usiłował uspokoić szaleńca. Trudne to było zadanie.

— Ależ proszę się uspokoić, mister Hadwell. Za ubranie ja panu zwrócę.

— A moje pieniądze? — stękał okradziony.

— Bardzo mi przykro, gdyby mi był pan dał je przechować, to co innego, a tak — żałuję mocno.

Pułkownik Rogers zjawił się na schodach.

Pomyślał sobie, że Norden musiał umknąć, teraz zaś chciał się przekonać o wydarzeniu.

— Kto jest ten pan? — zapytał kelnera.

— To pan Hadwell, który u nas od dwóch dni, właśnie go okradziono.

— Pan Hadwell, zdaje mi się, wyszedł przed godziną z hotelu? Któż to był więc?

Kelner zdrętwiał. Zrozumiał wszystko! Wskoczył do izby Nordena.

Znalazł stare, podarte i skrawione ubranie żeglarskie, parę lichych butów, stary kapelusz.

Łóżko było próżne. Gość więc zabrał się.



Żona farmera pieściła małą Liddy.

— A to on był, on okradł pana Hadwella! — krzyknął kelner.

— Kto ten przybysz?

— Ależ on! O jakiż osioł ze mnie! Jam go nie poznał!

Gospodarz wyszedł z pułkownikiem, pozostawiając zrozpaczonego Hadwella, który ryczał:

— Ośmdziesiąt tysięcy dolarów! — O jam zrujnowany, zniszczony!

Pułkownik rzucił gospodarzowi przelotem pożegnanie i wybiegł do Sama.

— Widziałeś, którędy udał się mężczyzna w wielkim kapeluszu, który niedawno wyszedł z hotelu?

Sam wskazał biczem w stronę targowicy.

— Prędko za nim! To Norden! Ile konie wyskoczą! — krzyknął i wskoczył do powozu.

Popędzili z szybkością wiatru.

Norden zaś oczekiwał pogoni.

Porzucił tedy szeroką ulicę targową i pędził prawie biegiem wązkiemi uliczkami, aż dobiegł do małych domków przedmiejskich.

Spotkał jakąś starą kobietę.

— Do jakiej stacji kolejowej dojdę w tym kierunku? — zapytał.

— W kierunku Mongonery, — ale tam będzie bodaj siedm mil.

Podziękował i pospieszył we wskazanym kierunku.

Tymczasem Norden zmylił pogoń.

Aby nie zwrócić na siebie podejrzenia, wziął bilet do Vicksburgu, a stamtąd odpłynął parowcem na Missisippi w południową stronę.

28. Obcy pan.

W jednej z najpierwszych kawiarni Nowego Orleanu, zebrało się pewnego dżdżystego dnia grono młodych ludzi z najlepszych rodzin południowej stolicy.

We wspaniałych salach obszernego lokalu krążyły śmiejące się i żartujące grupy z całą żywością mieszkańców południa.

Czytali gazety, sprzeczali się żywo na temat wiadomości umieszczonych w dziennikach.

— Gdzie to dzisiaj bawi nasz Warren? — zapytał jeden z nich niecierpliwie.

Czarny, kędzierzawy włos, ciemna cera i czarne oczy dawały w nim zaraz poznać kreola (krajowca z europejskiej krwi).

— Już on przyjdzie, Beauregard, dopiero godzina trzecia, — ozwał się jego sąsiad naprzeciwko, rzuciwszy niedbale okiem na zegarek, wysadzany brylantami.

Zdradzał on pochodzeniem Jankesa na pierwszy rzut oka.

— Ciekaw jestem poznać się z nim Levis, — dodał trzeci, zwracając się do flegmatyka z jasną brodą, którego jasne siwe oczy patrzyły ostro i rozumnie na świat.

— No, jeszcze go pan poznasz, w sam czas, Mac Donnel, — odparł spokojnie Levis.

— Tylem się nasłuchał w ostatnich dniach o tym dziwnym człowieku, — ciągnął dalej Mac Donnel, (którego ciemno brunatny włos i nieco melancholijne oczy zdradzały syna szkockiego płaskowyża), — że ciekawość moja ogromna. Znasz go panie Beauregard, dłuższy czas, jakież robi na panu wrażenie?

— Sam pan zobaczy! A otóż i on!

Oczy trzech panów zwróciły się z oczekiwaniem ku drzwiom wchodowym.

Wśród pozdrawiających z respektem, lub też przyjaźnie grup gości, — niektórzy nawet nizko mu się kłaniali, — kroczyła wysoka, smukła a przytem jednak pełna siły postać, której ruchy zdradzały przy całej swej elegancji muskuły, jakby ze stali.

Ciemny włos otaczał we splotach wysokie, białe, piękne czoło, krótką ciemną, ładnie przystrzyżoną bródka ogarniała cokolwiek blade, szlachetnie rzeźbione oblicze, małe pielęgnowane ręce, zgrabne nogi dopełniały całą ujmującą postać!

Najdziwniejszą rzeczą w tej pięknej postaci, były wielkie ciemne oczy, które niejako oczarowywały, obezwładniały wszystkich.

Zaraz go też polubiono w gronie złotej młodzieży; uchodził za najszaleńszego jeźdźca, najpewniejszego strzelca, najciętszego gracza, zawsze gotowego z równym spokojem do stawki, — wygrać lub przegrać.

Zbliżył się do stołu, przy którym siedzieli trzej młodzieńcy.

Powstali z krzeseł.

— Dzień dobry panom! — pozdrowił Levisa i Beauregarda i skłonił się Szkotowi grzecznie.

— Mr. Mac Donnel, — kapitan Warren, — pospieszył przedstawić obopólnie Beauregard.

— Bardzo miło.

— Proszę, po mej stronie przyjemność!

— Jużeśmy pana tęsknie oczekiwali.

— No, dlaczego, śmiem zapytać?

— Niech pan sobie pomyśli, panie kapitanie, wieczory towarzyskie w Saint-Artaya, poczynają się znowu.

— Ale, ale — pan masz cudny pierścień brylantowy, — zwrócił się Beauregard do Warrena. — Czy wolno popatrzyć?

Warren ściągnął pierścień niedbale z palca.

Wszyscy zachwycali się jego pięknością.

— U Saint-Artay na wieczorach towarzyskich, zobaczysz panie kapitanie, co to znaczy w Nowym Orleanie bogactwo! Powrócili właśnie z willegjatury!

— Czy Saint-Artay bardzo bogaty? — zapytał Mac Donnel?

— Kalkuluję — 10 miljonów dolarów, rzekł obojętnie Levis.

— Ale największym jego skarbem jest Luiza Saint-Artay jego córka najpiękniejsza panna w Nowym Orleanie.

— Jedynaczka? — zapytał Warren.

— Jedynaczka z drugiego małżeństwa, — pierwsze było bezdzietne, — odrzekł Beauregard i w tej chwili zobaczył przechodzącego znajomego. Zawołał doń:

— Chodź pan tu do nas, panie Doublay!

— Dziękuję, spieszno mi, — odparł Doublay grzecznie, ale chłodno, skłonił się mimochodem i poszedł.

— Nie wiem, co mu się stało, — rzekł Beuregard niechętnie, — od jakiegoś czasu zmienił się. Zwyczajnie trzymał z naszą trójką. Nazywano nas żartem: „czterolistna koniczyna“. Od jakiegoś czasu unika nas, czy się czem obraził. Niemiło mi to.

— Może ja tu popsułem harmonję, — zaśmiał się Warren, oko jego spoczęło błyskawicznie na twarzy Beauregarda.

— Ależ proszę, — to wykluczone! Doublay jest poprostu zakochany, w takim razie zapomina się o przyjaciołach.

— Zakochany? W kim? — zapytał Mac Donnel.

— W Luizie. A ona, — ot, śmieje się, żartuje z nim, jak i z drugimi. Może nawet nie myśli o nim. Rodzice nie mieliby zresztą nic przeciw ich związkowi. Doublay jest jednym z najporządniejszych młodzieńców Nowego Orleanu.

Warren spojrzał na zegar.

— Muszę się zabierać moi panowie.

— A będzie pan jutro u Saint-Artayów?

— Jeśli mię pan wprowadzi, będę mu bardzo zobowiązany.

Wyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Mojsze Scyzoryk i Brzuchomówca.

(Humoreska.)

W pewnej zapadłej wiosce żył sobie Mojsze Scyzoryk jako handlarz garnkami, miskami i t. p. rzeczami wyrobów glinianych, u którego służył od pięciu lat za parobka Wojtek, z którym to Mojsze jeździł ze swoim towarem do miasteczka oddalonego o pięć mil drogi. — Mojsze skupował garnki i miski gliniane w miasteczku i stamtąd przywoził do swojej wioski i tam handlował, na czem nie źle zarabiał.

Aż oto pewnego razu Wojtek, przyszedłszy do Mośka, rzekł do niego:

— Mój kochany Mośku, w tym miesiącu kończy mi się u was służba trzyletnia, za którą jesteście mi winni tysiąc złotych. To też was proszę, abyście mi zapłacili.

— Jak mogę zapłacić, panie Wojciechu, kiedy teraz geszeft nie idzie, to skąd ja wam wezmę tysząc złotych — odparł żyd z miną żebraka.

— Ja wiem dobrze, że macie pieniądze, — zawołał Wojtek wzburzony — tylko nie chcecie mi zapłacić, myślicie, że wam podaruję? Aha! Trzy lata służyć za darmo to nie idzie. Pytam się, czy mi zapłacicie ten tysiąc złotych, czy nie?

— Zaczekejcie, panie Wojciechu, jeszcze jeden miesząc, to wam go wtedy zapłacę.

— Nic nie czekam, tylko mi zapłaćcie, albo idę do sądu i was zaskarżę.

Na te słowa Mojsze zaraz się udobruchał i rzekł jak najmilszym głosem:

— Nu, nu! jakosz to będzie, tylko się uspokujcie. Jutro jeszcze pojedziemy do miasteczka i jakoś to będzie.

Na drugi dzień jeszcze słońce nie zeszło, jak Mojsze z Wojtkiem wyruszyli w drogę. Zaledwie wjechali w las, w którym panowała jeszcze prawie noc, Mojsze szepnął do Wojtka przerażony do najwyższego stopnia:

— Czy widzisz Wojczechu, co tam jest?

— Coby miało być — odparł Wojtek spokojnie — pniaki i nic więcej.

— E, mój Wojczechu, mnie się zdaje, co to nie pniaki. Ja sze boje, aby to nie byli rizbójniki, albo złodzieje.

W tej chwili Wojtkowi błysnęła szczęśliwa myśl skorzystania z tchórzostwa Mojśkowego, więc zawołał, udając również przerażonego:

— Tak i mnie się zdaje, że to nie drzewo, bo się porusza, i co my teraz oba zrobimy?

— Ja nie wiem! Ja słaby, ja biedny handlarz, ja nic go ni mieć, ja nie wiem, co oni chcą od nas? — wołał żyd, jak gdyby naraz dostał 40 stopni gorączki.

— A co się można po rozbójnikach spodziewać. — Obrabują nas i tyle, albo i zabić mogą. Ja uciekam.

— Mój złoty panie Wojczech, nie róbcie tego, wy go mnie schowajcie do tego worka, a jak was rozbójniki złapią, to powiedzcie, że wy biedny, że wy nic nie macie, że u mnie służycie, a jakby się pitali, co jest w ten worek, to powiedzcie, że miski i garnki wieziecie do miasteczka, że ja wam kazał.

— A co mnie to obchodzi, że wam wezmą trochę pieniędzy, wy mi i tak za to nie płacicie, co ja u was służę.

— Zaraz zapłacę w miasteczku, albo tu zaraz wam dam, abyście nie mówili, że macie u mnie dług.

To mówiąc, Mojsze wyjął pugilares i wyliczył Wojtkowi tysiąc złotych i rzekł mu:

— Już macie, a jak wam rozbójniki zabierą, to ja nie winien, weście i moje, schowajcie dobrze. Jest tu dwa tysiące, to ja was proszę, ja was bardzo proszę, schowajcie.

— Dobrze, dobrze — rzekł Wojtek, chowając pieniądze za cholewę od buta.

Po chwili Wojtek, podcinając konie, ruszył dalej. Mojsze zaś zawiązany we worku, siedział cichutko i słuchał, co dalej będzie:

Naraz Wojtek zmieniając głos, krzyknął:

— Stój! ręce do góry!

Zaś swoim głosem spytał, kto idzie i czego chce?

— Ja ci zaraz powiem, czego chcę — odparł Wojtek, głos zmieniwszy — ot zaraz ci powiem, dawaj pieniądze, albo życie.

— Ale ja nic nie mam, jestem sługą u tego, czyj ten koń i....

— Stul gębę — krzyknął mniemany zbójca — obrewidować go.

Na te słowa Wojtek, zsunąwszy się z woza, począł się taczać po ziemi i wołać zmiłowania Bożego, ale to nic nie pomagało, bo zbóje swoje robili.

— Niema nic — rzekł jeden ze zbójców do mniemanego herszta.

— Wyzuć go — zawołał tenże — może do butów schował?

— A ty drabie jeden — zawołał herszt, gdy wypchany pugilares wyleciał z cholewy — tyś mnie śmiał okłamywać. Wsypać mu na pamiątkę 25, aby pamiętał, kogo ocyganił.

Na te słowa Wojtek zdjął płaszcz i położywszy na murawie, począł okładać biczyskiem, jęcząc w niebogłosy.

— O, laboga, ubijcie mnie. Zabraliście mi cały majątek, to choć życie darujcie. Ale to nic nie pomagało i Wojtek dostał 25. A potem zbliżywszy się do wozu, zawołał:

— A co ty tu masz w tym worku. Pokaż mi zaraz.

— Garnki i miski gliniane — wielmożny panie zbóju!

— Garnki? He? Potłuc mu je za karę, że nas pocyganił.

Co słysząc Mojsze, już miał krzyknąć, aby mu darowali, ale przypomniawszy sobie, że garnki nie mogą krzyczeć, siedział cicho, czekając, co dalej się stanie. W tem jedno uderzenie po drugiem grubego biczyska poczuł na swej głowie, a chcąc jaknajprędzej pozbyć się silnego bólu, począł wołać: Briń, briń, briń, briń, udając, że się garnki tak tłuką.



Po chwili mniemani zbójcy odeszli. Wojtek ciągle jęcząc, rozwiązał wór i wypuścił obitego żyda. — Żyd rad, że życie ocalił, rzekł do Wojtka:

— Nie płaczcie mój Wojciechu, że wam pieniądze odebrali i wasze i moje, ja wam wasze wrócę za to, żeście mi życie uratowali.

Wieczorem tego samego dnia wrócili do domu od doktora, u którego Wojtek z Mojszem się leczyli. — Wojtek zaraz położył się do łóżka, jęcząc, przeleżał dwa tygodnie, poczem otrzymawszy od Mojsza tysiąc złotych, z czteroma tysiącami poszedł wprost do wójtowej córki, gdzie się i ożenił, a otrzymawszy pięć morgów od wójta jako wiano, dokupił sobie jeszcze trzy morgi za swoje pieniądze i żyje jako dostatni gospodarz. *Antoni St. Szymański.*

Poradnik gospodarczy.

O ładny wygląd naszych wsi.

Powszechne to jest u ludzi zjawisko, że jak idziemy do kogoś w odwiedziny, to przywdziewamy lepszą kapotę, no a jak w niedzielę, czy święto, to co mamy najlepszego, stroimy się, byle ładniej wyglądać, byle czuć się jakoś po ludzku. Szczególnie lubią być ładnemi gospodynie i dziewczęta, albowiem jak cię widzą, tak cię piszą.

A kiedy sami lubimy wyglądać ładnie i podobać się, to zwróćmy uwagę na wygląd naszych wsi i obejść gospodarskich, albowiem podług tego też nas cudzoziemcy sądzą, jak to niejednokrotnie daje się w gazetach słyszeć, że nieprzychylnie o Polsce się wyrażają,

Wprawdzie w wioskach pełno zieloności i sady są, ale pożal się Boże, rośnie wszystko jak las, żadnej dbałości gospodarz nie wykazuje, aby sad wyglądał po ludzku. Ogrodzenie bywa albo z cierni, albo jakiś graślawy, płot poprzekrzywiany na wszystkie strony, albo bez żadnego zgoła ogrodzenia. Podobna zagroda robi niesamowite wrażenie jakiegoś opuszczenia, jakiejś wyjątkowej nędzy, zdaje się, że w tem miejscu jakiś bankrut mieszka, lub człowiek zdziczały. Bardzo często zagroda taka należy do kilkudziesięcio-morgowego gospjodarza, którego stać i na założenie sadu i na parkan, czy inne ogrodzenie, ale ot — niedbałość.

A teraz zajrzyjmy do podwórza — zobaczymy taki obraz: pług gdzieś w pokrzywach, koło od wozu pod szopą, drabina pod płotem i t. d. A gnojownia — istne topielisko lub wyschnięta kupa roztatrana na wszystkie strony przez kury. Krótko mówiąc, brud i nieład. Nie mówiąc o wybiegach dla cieląt, które w stajennym kryminale, uwiązane w jakimś ciemnym kącie — jeżeli myślą to napewno: Panie Boże — pocoś mnie na świat stworzył.

Ale cielę, to jest już wewnętrzna sprawa, czasami można nie zobaczyć. Zły i nieładny wygląd zagrody każdemu się nie podoba. A przecież sami, gdy spotkamy zagrodę, około której jest porządek, to powiemy, że ten gospodarz musi mieć głowę na karku.

Jakże miłym jest wygląd schludnego domku, wzorowo założonego sadu, ogródka z kwiatami. Toć z biblji wiemy, że Pan Bóg Adama i Ewę osadził w raju, który był rozkosznym ogrodem. A wyobraźnia nam dopisuje, że w tym ogrodzie, to ścieżki były wygracowane i były przeróżne klombiki i przyjemności.

Zakładanie racjonalnych sadów, ogródków kwiatowych, nadawanie ładnego wyglądu naszym zagrodom wioskom, jest właśnie stwarzaniem raju ziemskiego w naszych wioskach. Korzyści z tego są dla oka, dla duszy i dla kieszeni.

A wreszcie idąc dalej, to i maleńkie parki z rozmaitemi płaczącemi klonami, różami, powinniśmy przy swoich zagrodach zakładać.

Na ogrodzenie zamiast żerdzi lub płotów zgrabne parkaniki, lub co najlepsze, to żywopłoty, które są najtańsze. Bardzo często wsie niektóre posiadają w środku, rozmaite nieużytki lub pastwiska wspólne. Czyż nie powinniśmy się na to zdobyć, aby w takim miejscu założyć ładny park, sąsiad z sąsiadem by z przyjemnością czas spędził, lub jakieś inne zabawy mogłyby się odbywać.

Wszystko co żywe, to na swój sposób stara się ładnie urządzić, ptak gniazdo, mrówki kopiec, pszczoły ul, zwierzę legowisko. Wszędzie jest dbałość o porządek. Dlaczegoż my, rolnicy gospodarze jesteśmy tego zmysłu pozbawieni.

Czyż to na te wszystkie porządki trzeba aż tak wielkich kosztów. Wcale nie, a nawet zaprowadzenia tych porządków taniej kosztuje od zaniedbania. Różne literaty gospodarzom polskim przypisują ogromne umiłowanie ziemi i przywiązanie do zagona i t. p. cnoty. A nawet stronnictwa polityczne, też na punkcie ziemi nas uszczęśliwiają. A tymczasem uważamy ziemię, jak macochę, której nawet nowa zapaska się nie należy.

Zadbajmy o ten nasz honor gospodarski i bierzmy się do oporządkowania naszych zagród. Zapewne, że i w tej sprawie nie można sobie bądź jak postąpić, a tylko z rozmysłem.

Śmiało można zawyrokować twierdzenie, że jak się zmieni wygląd naszych zagród i wsi, zmieni się też na lepsze kultura i charakter całego narodu.

J. Szczepański.

KRONIKA.

Ferje letnie w szkołach. Niektóre gazety codzienne piszą: „Z kół dobrze poinformowanych donoszą, że w związku z projektowanemi licznemi wycieczkami młodzieży szkolnej na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu, ferje letnie we wszystkich szkołach rozpoczną się w r. b. wyjątkowo 15 czerwca b. r.“ Urzędowego potwierdzenia tej wiadomości jednak brak.

Mieszkania dla nauczycieli. Minister spraw wewnętrznych polecił wszystkim wojewodom zwrócić uwagę zarządów gmin, że w myśl obowiązujących przepisów gminy są obowiązane do dostarczania nauczycielom publicznych szkół powszechnych mieszkań, za które mogą zasadniczo pobierać opłaty czynszowe. Ministerstwo spraw wewn. otrzymało w ostatnich czasach szereg zażaleń, że niektóre gminy żądają od nauczycieli szkół zbyt wygórowanych czynszów. Wojewodowie zwrócili się już do gmin ze szczególnym apelem w tej sprawie, że ze względu na charakter stanowiska i pracy nauczycieli jako szerzycieli oświaty szkolnej i pozaszkolnej, gminy nie powinny żądać wogóle czynszu za mieszkanie od nauczycieli, a jeżeli je pobierają, to czynsze te nie powinny w żadnym wypadku przewyższać w swej wysokości norm dodatków na mieszkanie, otrzymywanych przez nauczycieli. Zarządzenie to pana ministra uważamy za słuszne i zupełnie na czasie, gdyż nawet w Krakowie w niektórych szkołach mieszkania, przeznaczone dla kierowników szkół, zajmują dygnitarze szkolni, a magistrat przeciw temu nie protestuje.

Nowe mundury dla kolejarzy. Z Warszawy donoszą: Ministerstwo komunikacji rozpisało w zeszłym roku konkurs na mundury służbowe kolejarzy. W wyniku konkursu wybrano jeden z projektów, który uległ nieznacznym zmianom. Postanowiono przemundurować kolejarzy polskich ze względu na nie dość reprezentacyjny wygląd dotychczasowych mundurów. Kolor nowych mundurów będzie podobny do starych, mianowicie granatowy. Dotyczy to oczywiście płaszczy i czapek. Kołnierze będą stojąco wykładane, kieszenie kryte z patkami, dystynkcje na kołnierzach będą różnych kolorów, zależnie od rodzaju służby. Czapki okrągłe, dość wysokie, podobne do czapek używanych przez kolejarzy czesko-słowackich, płaszcze dwurzędowe. Obecnie dyrekcja warszawska sporządza modele nowego munduru dla kolejarzy. W przeciągu miesiąca zbierze się komisja, złożona z przedstawicieli kilku dyrekcyj oraz departamentów ministerstwa komunikacji, która zadecyduje ostatecznie o zmianie mundurów kolejarzy. Naszem zdaniem zamiast obdarzać kolejarzy nowymi mundurami, na które i tak nie mają pieniędzy, lepiejby im było podwyższyć ich częstokroć skromne pobory.

Bratobójstwo. W Wadowicach wydarzyła się onegdaj krwawa zbrodnia, mianowicie pokłócili się dwaj bracia o ojcowiznę, Władysław i Franciszek Modrzeje. Kłótnia przemieniła się w bójkę, podczas której Franciszek porwał siekierę i rozpłatał nią głowę bratu Władysławowi, który padł na miejscu trupem.. Aresztowany Franciszek zeznał, że już od trzech dni nosił się z zamiarem zabicia brata.

Biskup tułacz. W ubiegłym tygodniu zmarł we Lwowie najstarszy z biskupów polskich ks. arcybiskup Karol Hryniewiecki w 89 roku życia, a 62 kapłaństwa. Biskupem był przez lat 46. Ś. p. ks. Hryniewiecki został powołany na stolicę biskupią w Wilnie przez Ojca świętego Leona XIII. W pełni sił i zapału kapłańskiego objął biskup Hryniewiecki djecezję, która była za rządów rosyjskich najtrudniejszą placówką katolicką w państwie carów. Z reguły niemal wszyscy biskupi wileńscy wędrowali po pewnym czasie na wygnanie. Rząd zaborczy wytężał wszystkie swe siły, używał wszelkich sposobów, by osłabić na terenie Wileszczyzny wpływy Kościoła i zniszczyć doszczętnie polskość. Kościołowi groziło w tym kraju poważne niebezpieczeństwo, które zostało usunięte pracą takich biskupów jak Hryniewiecki, jego poprzednicy i następcy. Niedługo trwały rządy biskupa Hryniewieckiego w Wilnie. Rychło doszło do zatargów z władzą rosyjską. Biskup Hryniewiecki, gorliwy obrońca Kościoła i swej owczarni, wezwany został w roku 1885 do Petersburga, skąd musiał wyjechać w głąb Rosji, do Jarosławia i pozostawać tam do 1890 r. Po uwolnieniu z Jarosławia wyjechał za granicę dla odzyskania zdrowia, a następnie, zrzekłszy się katedry wileńskiej i otrzymawszy tytuł arcybiskupa paryeńskiego osiadł w Małopolsce Wschodniej. Czas jakiś pracował jako proboszcz, później osiadł we Lwowie, jako prałat-kustosz kapituły Metropolitalnej. Pogrzeb zacnego arcykapłana odbył się w ubiegły czwartek.

Szczęście w nieszczęściu. Ze Stryja donoszą: Wieczornym pociągiem, wracał z Drohobycza do Stryja właściciel młyna p. Markus E. Neubauer ze Stryja. Będąc zmęczonym, ułożył się na ławce i zdrzemnął się. Przy sobie miał w gotówce 1.200 dolarów. W pewnym momencie uczuł nagle szarpnięcie. Zerwał się momentalnie ze snu i spostrzegł, że jakiś osobnik wyciąga mu pieniądze z kieszeni. Nie tracąc przytomności, złapał go za rękę, w której trzymał już pieniądze. Współtowarzysze podróży pomogli związać złodzieja, którego na stacji w Stryju oddano policji dworcowej. Przytrzymanym okazał się dobrze znany policji „doliniarz“ Andrzej Głuch. Wraz z doniesieniem odstawiono go do sądu.

Mężobójstwo. Ze Stryja donoszą: W Perehińsku koło Rożniatowa mieszkał 55-letni Jurko Kos z żoną Magdą, 56-letnią kobietą i synem Iwanem. Od dłuższego czasu Jurko często zaglądał do kieliszka, poczem wywoływał awantury w domu, maltretował żonę i syna. Gdy jednak przebierała się miarka, żona postanowiła pozbyć się brutala. Onegdaj Kos — jak zwyczajnie — wrócił do domu zupełnie pijany i rozpoczęła się piekielna awantura. Wówczas Magda przygotowaną siekierą zadała mężowi cios w głowę. Siła uderzenia była tak wielka, że rozpłatała mu głowę na dwoje, a mózg wypłynął. Mężobójczynię aresztowała policja i odstawiła do sądu.

Nieszczęśliwy obłąkaniec. Miejscowość Orzegów w powiecie świętochłowickim na Górnym Śląsku pozostaje pod wrażeniem tragedji, która rozegrała się w rodzinie górnika Ludwika Bramowskiego. Bramowski, cierpiąc na manję prześladowczą, żył stale pod wrażeniem planowanego na jego życie zamachu, a myśl ta nie dawała mu spokoju nawet podczas pracy w kopalni, z czem się zwierzał często przed swoimi kolegami. Onegdaj udał się on do szpitala spółki brackiej w Rudzkiej Kuźni, gdzie popełnił samobójstwo, wbijając sobie w pierś zaostrzony pręt żelazny. Wszelki ratunek okazał się bezskuteczny.

Potrójne życie portjera. Donoszą z Łodzi: Od dłuższego czasu w fabryce pluszu Teodora Finstera ginęły w sposób tajemniczy różne partje towaru. Na prośbę zarządu tej fabryki policja przeprowadziła obserwacje i w krótkim czasie doszła do sensacyjnych wprost wyników. Okazało się, że kradzieży dokonywał portjer fabryki, podający się za Marjana Przybylskiego. Skradziony towar wywoził do miasteczka Warty, gdzie sprzedawał go paserom. Kiedy Przybylskiego aresztowano, wyszło na jaw, że jest on dawno poszukiwanym, znanym złodziejem, nazwiskiem Andrzej Ciepluk. Prowadził on potrójne życie: w dzień pełnił funkcje portjera, wieczo-

rem sprzedawał kradziony towar, w nocy zaś przedzierzgał się w eleganckiego mężczyznę i bawił się wesoło w pierwszorzędnych lokalach. Niedawno Ciepluk kupił sobie luksusowy samochód. Przy aresztowanym znaleziono 50 tysięcy zł. Część towaru odebrano od paserów, reszta przepadła. Straty fabryki wynoszą ogółem 100 tysięcy złotych.

Taniec wśród płomieni. W osiedlu ukraińskiem pod Kaliszem, gdzie przebywa wielu emigrantów ukraińskich, przeważnie byłych żołnierzy atamana Petlury, niejaka Marja Berezowska, mężatka, cierpiąca na chorobę umysłową, ubrała się w czasie nieobecności męża w najlepszą suknię, poczem oblała się naftą i zapaliła. Płomienie i gryzący dym zmusiły ją do opuszczenia mieszkania.



Cała w płomieniach wybiegła na ulicę i poczęła tańczyć wśród dzikich okrzyków jakiś opętańczy taniec. Ogień na nieszczęśliwej ugasili przechodnie. Berezowska, przewieziona do szpitala, zmarła wskutek ciężkich oparzeń.

Czworaczki. Z Lublina donoszą: We wsi Wola Suchozebrska, oddalonej o 10 klm. od Siedlec, Stanisława Pieczyńska, licząca lat 29, wydała na świat czworaczki, jednego chłopca i trzy dziewczynki, z których jedna zmarła. Zdrowie pozostałych dzieci i matki nie pozostawia nic do życzenia. Ta sama Pieczyńska w ubiegłym roku urodziła bliźnięta.

Ugotowana teściowa. Z Rygi donoszą: W pobliżu Kowna, we wsi Betygoła, dokonano wyrafinowanej zbrodni. Mieszkańcy tej wsi zauważyli, iż od jakiegoś czasu zginęła bez śladu 72-letnia staruszka Kaupacowa. Zaczęto podejrzewać zbrodnię i podejrzenia padły na synowę, która żyła w niezgodnie ze staruszką. Sprawą zainteresowała się policja i już wstępne dochodzenie dało sensacyjne wyniki. W mieszkaniu staruszki znaleziono pokrwawione ubranie, zaś w śmietnisku spalone szczątki kości. Wzięta w krzyżowy ogień pytań synowa przyznała się wreszcie, iż nie mogąc pogodzić się ze staruszką, umyśliła pozbyć się jej i w tym celu zamordowała ją, poćwiartowała ciało, ugotowała, a następnie wyjęła kości i spaliła. Kobietę-potwora osadzono w więzieniu.

Z rozpaczy za matką. Buchalter pewnego banku prywatnego w Budapeszcie, 45 letni Dezydery Hacker, żył z swoją staruszką matką, która od dłuższego czasu leżała chora w łóżku. Oboje żyli w bardzo skromnych warunkach, zdala od życia i ludzi. Buchalter był człowiekiem bardzo pilnym, sumiennym i punktualnym i wracając do domu, przynosił zawsze dla siebie i dla matki jadło. Onegdaj zjawił się w mieszkaniu urzędnik banku, w którym zajęty był Hacker, aby go zapytać, dlaczego od trzech dni nie zjawia się w banku. Kiedy na jego pukania nie dano mu żadnej odpowiedzi udał się do dozorcy. Obaj z dozorcą wrócili pod drzwi mieszkania Hackera i zauważyli nagromadzone w skrzynce gazety z trzech dni. Zawiadomiono policję, która otworzyła urzędowo drzwi mieszkania. W sypialni znaleziono martwą matkę Hackera, leżącą w łóżku. Koło niej siedział Hacker, również martwy. Sekcja lekarska stwierdziła, że matka umarła śmiercią naturalną, natomiast syn jej popełnił samobójstwo przez zażycie szybko działającej trucizny.

Kucharka panią zamku. Niezwykłą sensację wywołał w Austrji testament bogatej ziemianki, Anny Reichsedle von Unkrechsberg, właścicielki Etzeldorfu koło Pichl. Pani Unkrechsberg była niezamężna. Najbliższą jej krewną była baronowa v. Symini w Preszburgu. Niedawno pani Unkrechsberg zmarła. Po otwarciu testamentu przekonano się, że baronowa otrzymała tylko drobną część majątku, który zmarła zapisała niemal w całości swojej kucharce, Józefie Pühringer. Służyła ona u zmarłej przez 17 lat. Spadek przedstawia wielką wartość. Prócz starego zamku Etzeldorf, należy do niego 73 morgów najlepszej ziemi, olbrzymia ilość bydła i koni.

Polowanie na słonia w mieście. Miasto Reutlingen w Wirtembergji przeżyło obfitujące w tragikomiczne sceny polowanie na gromadę słoni. Z transportu cyrku Krone odłączyły się na dworcu kolejowym cztery słonie i skierowały się ku miastu. Trzy olbrzymy, po stratowaniu kilku ogródków przed domami dały się spokojnie ująć, natomiast pozostały młody, bardzo wesoły słoń, po krótkiem uganianiu się między szynami dworca towarowego i pasażerskiego, wybiegł na ulicę miasta. Tłumy gawiedzi, goniącej przed i za słoniem rosły z minuty na minutę. Olbrzym tymczasem truchtem przebiegał ulice, odwiedzając jeden sklep po drugim. Zwykle po takiej wizycie drzwi i szyby były doszczętnie rozbite. W jednym ze sklepów właścicielka nie traciła przytomności i wchodzącemu przez okno słoniowi otworzyła drzwi, przez które spokojnie wyszedł. Słoń zmieniał często kurs, co wśród tysięcznych tłumów wywoływało dziki popłoch. Był on jednak łagodny i przechodniów, którzy padali i nie mogli na czas uciec, przestępował z całą ostrożnością, aby leżących nie rozdeptać. Po dwugodzinnej gonitwie uwięziono zbiega w dziedzińcu szpitalnym, lecz olbrzym wysadził żelazną bramę z zawiasów i jeszcze przez godzinę zażywał swobody. Wkońcu personalowi cyrkowemu udało się spętać mu nogi przy pomocy lassa i odwieźć samochodem ciężarowym do cyrku.

Potworna macocha. We Wrocławiu silne wrażenie wywołała zbrodnia, popełniona przez 42-letnią Linę Francke, która zamordowała w okrutny sposób swoją 21-letnią pasierbicę Elfridę. Korzystając, z tego, że inne dzieci wyszły z mieszkania, nieludzka macocha podkradła się do śpiącej Elfridy i udusiła ją prześcieradłem okręconem dookoła szyji. Następnie podpaliła mieszkanie i zbiegła. Straż pożarna znalazła wśród płonących przedmiotów urządzenia domowego opalone zwłoki nieszczęśliwej dziewczyny.

Żywe pochodnie. W Brukseli, w Belgji, wydarzył się onegdaj tragiczny wypadek. Dwie panie, wdowa Vindelinck, lat 45 i jej matka, licząca 74 lat, zajęte były czyszczeniem sukien benzyną, gdy naraz flaszka z benzyną przewróciła się i benzyna zajęła się od lampki i wybuchła. Od płomieni zajęły się suknie obu kobiet, które zmieniły się wkrótce w żywe pochodnie. Pewien przechodzeń zauważył płomienie przez szybę, ale nie mógł ratować kobiet, ponieważ drzwi były zamknięte. Po rozbiciu szyby udało się wkońcu wydobyć z wnętrza płonące kobiety i ugasić na nich ogień. Straż po-

żarna ugasiła zaś pożar w mieszkaniu. Po przewiezieniu do szpitala obie kobiety zmarły wskutek ciężkich ran z poparzenia.

Straszna katastrofa kolejowa. Pociąg pospieszny, idący z Paryża do Brukseli, zderzył się onegdaj w pobliżu miejscowości Hall z pociągiem towarowym. Szczegóły katastrofy przedstawiają się następująco: Pociąg pospieszny miał na skutek gęstej mgły znaczne opóźnienie. Wobec tego maszynista na ostatnim odcinku przed Brukselą przyspieszył szybkość pociagu do maksimum i przeoczył przy tem sygnał wskazujący na zajęty tor. Pociąg wpadł w pełnym biegu na idący z Lille pociąg towarowy. Skutki zderzenia były straszne. Znajdujący się tuż za lokomotywą wagon pocztowy, pod presją tylnych wagonów rzucony został poprzez lokomotywę. Drugi wagon pocztowy stanął pionowo na szynach. Dalsze dwa wagony 3 klasy zostały doszczętnie zniszczone. Miejsce katastrofy przedstawia okropny widok. Z pomiędzy zdruzgotanych wagonów wydobyto 10 zabitych i około 100 rannych, z czego 33 ciężko. Maszynista pociągu Paryż-Bruksela cudem uniknął śmierci, natomiast palacz został zabity. Zwłoki ofiar katastrofy są okropnie zniekształcone.

Siedmiokrotna mężatka. Przed paru dniami pochowaną została w Kingston w Anglji mrs. Sara Goodwin, która w ciągu 91 lat swego życia wchodziła 7 razy w związki małżeńskie. Mając lat 21 poszła pierwszy raz do ołtarza. Trzej jej mężowie zmarli skutkiem tragicznych wypadków, trzej następni, marynarze z zawodu, zostali uznani przez władze sądowe, za zaginionych. Z ostatnim swoim mężem żyła Sara Goodwin przez lat 8.

Epidemja ospy w Anglji. Donoszą z Londynu, że z powodu wypadków zapadnięcia na czarną ospę, rząd francuski zarządził, że wszystkie osoby przyjeżdżające do Francji z Anglji, muszą posiadać świadectwo, iż w ciągu ostatnich dwóch miesięcy poddały się szczepieniu ochronnemu. Do tej pory zmarło na czarną ospę 7 osób. W mieście Southampton leży 70 chorych, w Londynie 125. Straszną tę epidemję zawlec miały szczury na okręcie „Tuscania“, który przybył z Bombaju.

Uroczystości ku czci Dziewicy Orleańskiej. Francja obchodzi w roku bieżącym wielkie święto narodowe: 500-lecie Joanny d'Arc, dziewicy bohaterki, która uwolniła w swoim czasie ojczyznę swą od najazdu angielskiego. Właśnie 29 kwietnia upływa 500 lat, jak młoda dziewczyna, pastuszka z Domremy, na czele nielicznej armji wjechała do Orleanu i wypędziła stamtąd wroga. Dziewicę Orleańską pojmali następnie Anglicy i po dłuższej niewoli spalili na stosie 30 maja 1431 r., jako czarownicę. Proces został później zrewidowany i pamięć bohaterki Francji zrehabilitowana. Papież Leon XIII zaliczył ją w poczet błogosławionych, a za panowania Benedykta XV została ona kanonizowana. Miasto Orlean wystawiło jej wspaniały pomnik. Uroczystości jubileuszowe na cześć Dziewicy już się rozpoczęły w Domremy, miejscu jej urodzenia.

Ofiara obłędu religijnego. W Szwajcarji dość często spotyka się ludzi, ogarniętych obłędem religijnym, toteż niebardzo zdziwiło sąsiadów niejakiego Christiana Raaflouba, nieżonatego gospodarza, że postanowił pościć i umartwiać się podczas Wielkiejnocy. Wędrował więc bez przeszkody boso po górskich śniegach, pijąc tylko wodę, aż zniknął. Sąsiedzi słyszeli z jego zagrody ryczące bydło z głodu, ale właściciela nigdzie znaleźć nie mogli. Wreszcie pojawił się w chacie jednego ze znajomych z obciętą lewą ręką powyżej kostki, brocząc krwią. Przyznał się, że tej operacji dokonał sam na sobie, bo czuł się w obowiązku spełnienia słów Ewangelji św. Mateusza: „A jeżeli cię gorszy prawa ręka, utnij ją i rzuć precz od siebie“. No, i biedaczysko uciął sobie rękę... lewą, bo prawa była mu potrzebna, aby zadać sobie cios siekierą, która mu posłużyła za narzędzie amputacyjne.

Rozruchy chłopskie w Rosji. Z Charkowa donoszą, że w okręgu niżeńskim we wsi Komarówka wybuchły rozruchy chłopskie na tle organizowania komuny rolnej. Tłum włościan napadł na członków sowietu i geometrów, nie dopuszczając ich do pomiaru ziemi, przyczem przewodniczący sowietu Bojko został zamordowany. Siedmnastu włościan aresztowano. We wsi Stepanówka koło Kijowa został zamordowany w skrytobójczy sposób działacz komunistyczny Bondarewski. Sąd sowiecki w Dniepropietrowsku skazał na karę śmierci dwóch włościan za zabójstwo przewodniczącego sowietu Jakowlewa.

Trzęsienie ziemi w Szwecji. W prowincji szwedzkiej Noorland odczuto na przestrzeni 150 klm. duże trzęsienie ziemi, które trwało wprawdzie krótko, ale było tak silne, że domy chwiały się, szyby wylatywały, a w mieszkaniach obrazy spadały ze ścian. W miejscowości Pitea utworzyła się szeroka i głęboka szczelina.



Szczelina ta w niektórych miejscach dochodzi do 200 metrów głębokości i czyni wrażenie szybu kopalnianego. Szczelina ta przerwała szosę oraz drogi polne tak, że komunikacja na tych drogach jest przerwana, a wiele domów z powodu tej szczeliny grozi zawaleniem. Szkody są znaczne. Ofiar w ludziach nie było.

Egzekutor w paszczy podatnika. Poborcy podatkowi nie należą nigdzie do ludzi zbyt lubianych, ale żeby nienawiść ta doprowadziła do pożarcia ich, jest to wypadek należący do dosyć rzadkich. Przytrafiło się to jednak ostatnio w Nowej Gwinei przy ściąganiu podatków z pewnego papuaskiego szczepu. Naczelnik tej fiskalnej wyprawy podczas pełnienia swych trudnych czynności, zdenerwowany uporem krajowców, uderzył jednego z nich w twarz. Podczas nocy dzicy wymordowali cały odział Holendrów, poczem upiekłszy ich ciała, część spożyli sami a resztę rozesłali sąsiednim wioskom. Strasznej tej wiadomości dostarczyli władzom kolonjalnym tragarze, którzy w porę zdołali uciec. Wysłana ekspedycja karna odnalazła w jednym z szałasów trzy głowy pożartych urzędników. Znane jest okrucieństwo niektórych szczepów papuaskich. Przed niedawnym czasem w tej samej miejscowości rozerwano tam dosłownie na sztuki pewnego misjonarza, który dotknął się piszczałki trzymanej przez jakiegoś dzieciaka; okazało się, że piszczałka ta była „święta“ i że białemu nie wolno było jej dotykać.

RZECZY CIEKAWE.

Historja okularów.

Okulary są wynalazkiem europejskim z wieku trzynastego. Naukowe prace arabskiego uczonego Al Hanzasa, żyjącego w r. 1000, dały pochop angielskiemu mnichowi franciszkańskiemu, Rogerowi Bacon, do używania przy czytaniu szlifowanych szkieł i kryształów. Z jednej z pieśni minnesingerów z tego mniej więcej czasu wypływa, iż w południowych Niemczech były w użytku pewnego rodzaju „rozjaśniające szkła".

Pewny jednak dowód o używalności szkieł optycznych czerpiemy z kazań dominikańskiego mnich de Rivalto. Pierwsze rysunki szkieł takich z trzonkiem znajdujemy na wodnych znakach papieru, pochodzącego z północnej Italji z r. 1368. Egzystują następnie rysunki krótkowzrocznych, posługujących się okularami, z drugiej połowy XIV wieku. Obok pojedynczego szkła na trzonku, spotykamy na nich szkła podwójne na 2 rączkach, a także opatrzone zawiaskami. Okulary te używane były do połowy XVI stulecia.

Później weszły w użycie inne rodzaje okularów: przyczepiano je haczykiem lub przy pomocy pałeczek do noszonych wówczas peruk. Ostatni ten typ zachował się do XVIII wieku i dopiero w ubiegłem stuleciu przyjęły okulary formę dzisiaj używanej oprawy z pałeczkami zakładanemi za uszy.

Jubileusz tytoniu.

W roku bieżącym upływa 400 lat, kiedy po raz pierwszy Jean Nikot sprowadził tytoń do Francji.

Jean Nikot był ambasadorem królowej francuskiej Katarzyny Medycyjskiej na dworze w Lizbonie, ale sławy swej nie zawdzięcza bynajmniej swoim dyplomatycznym zdolnościom. Był on poprostu pierwszym, który przewiózł zielone listki tytoniowe przez Pireneje do Francji.

Nikot pędził życie filozofa, napisał książkę p. t. „Skarbiec mowy francuskiej" i wycofawszy się ze służby dworskiej, dokończył swych dni na wsi. Tymczasem wprowadzony przez niego tytoń rozpoczął tryumfalny pochód po Francji.

W owych czasach było palenie znacznie niebezpieczniejszą przyjmnością niż dzisiaj. Papież Urban VII rzucił ekskomunikę na palaczy. Był też król, który zabronił palenia tytoniu pod karą stryczka. Niewielu było wówczas takich, którzy dla fajki zaryzykowali własną głowę, ale mimo to znalazło się kilku takich śmiałków, którzy schwytani na gorącym uczynku, zawiśli na szubienicy.

Jednakże te wszystkie rygory i zakazy nie na wiele się przydały. Kapitanowie okrętów kupieckich przywozili tytoń zamorski całymi balami i sprzedawali go w cenie 12 franków za funt, co w owych czasach uchodziło za niesłychanie wygórowaną cenę. Kapitanowie ci dorobili się majątku, a tytoń stał się ogromnie popularny.

Wtedy to genjalny kardynał Riechelieu wpadł na doskonały pomysł i nałożył podatek tytoniowy. Dochody stąd płynęły olbrzymie, a obecnie, gdy na miejsce podatku tytoniowego znajduje się monopol tytoniowy we Francji, skarb francuski otrzymuje z tego tytułu ni mniej ni więcej tylko 3 miljardy franków. Jak z tego wynika, Francja nie ma powodu do zwalczania nikotyny.

Najwyższe drzewa na świecie.

Wielkie drzewa australijskie, eukaliptusy dochodzą niekiedy do wprost nieprawdopodobnej wysokości 143 metrów. Pomimo to eukaliptusy odznaczają się stosunkowo małą średnicą o wymiarze od 3 do $1^1/_2$ metra. Sequoie i czerwone sosny kalifornijskie osiągają w niektórych miejscowościach wysokości 120 i 105 metr., ale mają za to o wiele większą średnicę.

Istnieje 300 gatunków eukaliptusów, z których najwyższe są Regnans i Amygdalina. Prawie wszystkie rosną w Azji i Australji, z wyjątkiem kilku odmian właściwych Indjom Wschodnim i Półwyspowi Malajskiemu. Cechą charakterystyczną eukaliptusów są proste symetryczne liście, zwracające się brzegami ku słońcu i białe kwiaty w kształcie dzwonków.

Drzewa te cenione są dla żywicy gumowej, potnego olejku, wydobywanego z liści, dla tkaniny i włókien spodniej kory, a nadewszystko jako drzewo budulcowe. Drzewa tego używa się przy budowie okrętów, przystani i mostów oraz na słupy telegraficzne, podkłady kolejowe, narzędzia i meble. Olejek ma własności pobudzające i antyseptyczne i bywa stosowany przy chorobach nosa i oskrzeli. Eukaliptusy sadzono jako zabezpieczenie przed malarją. Może i słusznie, gdyż posadzone na bagnistym terenie, osuszają go i w ten sposób przeszkadzają mnożeniu się moskitów.

Zaaklimatyzowano je w wielu brytyjskich posiadłościach i w Kalifonji. Są to naogół drzewa delikatne, ale ochraniane od zimnych wiatrów rosną wcale dobrze. Najpospolitszy gatunek kalifornijski — guma niebieska, znana jest z odporności na suszę i znosi podobno temperaturę przeszło 60° C. poniżej zera. — Inny gatunek, rosnący w Kalifonji, guma manna rośnie z szybkością przeszło 10 metrów na rok.

Jak powstaje rosa, szron, gołoledź?

Rosa. Słyszymy nieraz, że ktoś powiada, iż pada rosa; ale nikt jej jeszcze nie widział padającej. Skądże więc bierze się ona na trawach i liściach, a nawet i na odzieży naszej w chwili zachodu słońca i po zachodzie

Każdemu wiadomo, że w izbie ogrzanej, gdzie gotują i piorą, na zamkniętych oknach osiadają krople wody, podobne do kropel rosy. W izbach, gdzie kilka osób sypia, osiada para na szybach okien. Kiedy słońce szyby ogrzeje, wtenczas rosa z nich niknie, podobnie jak znika na liściach i trawach, gdy słońce wzbije się w górę.

Z tego się okazuje, iż aby na jakiej rzeczy rosa osiadła, potrzeba, żeby ta rzecz była zimniejszą od powietrza, i aby powietrze to zawierało w sobie wilgoć, gdyż inaczej rosa się nie utworzy. Rosa więc powstaje z osiadania pary, unoszącej się w powietrzu, na przedmiotach zimniejszych od niego. Po zachodzie słońca dlatego rosa osiada na liściach i trawach, ponieważ one prędzej się ochładzają niż powietrze.

Rosa jest dobrodziejstwem dla krajów, gdzie deszcze mało albo tylko zimą padają. Gdyby nie rosa, to w okolicach tych nicby rosnąć nie mogło.

I u nas rosa żywi drzewa, rośliny i zboża, jest więc i dla nas nieocenionem dobrodziejstwem.

Szron. Jeśli przedmioty, na których rosa osiada, oziębią się wskutek lekkiego mrozu, wtedy rosa na nich marznie i powstaje z niej szron. Widujemy go po zimnej nocy na ziemi i na obmarzniętych gałęziach drzew, a także i na dachach w postaci mnóstwa drobnych, białych igiełek, z sobą skupionych. Szron więc jest rosą marznącą, a nie śniegiem, bo śnieg, podobnie jak deszcz, pada z chmur.

Gołoledź tworzy się wtenczas, kiedy z górnych, ciepłych warstw powietrza spada drobny deszcz na marznącą lub zmarzniętą ziemię. Dzieje to się w późnej jesieni, zimą lub na wiosnę, a prawie zawsze jest przepowiednią odwilży.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Józef Sołtys** w M.: Rzecz bardzo dobrze napisana, ale temat już taki stary i tyle razy w rozmaitych formach zużytkowany. Niech Pan napisze coś własnego pomysłu. — **„Orlica“:** Tak to Panienka zrobiła? Wyszła sobie zamąż, jak nigdy nic, a nas ani o tem nie zawiadomiła. A bylibyśmy przyjechali na ślub, aby się cieszyć Jej szczęściem. W każdym razie przesyłamy serdeczne gratulacje. A niechże Pani nie zapomina o „Roli“. Sześć dni poświęcić dla męża, a dla nas przynajmniej jeden w tygodniu. Jakże się Pani Toruń podoba? — **Bazyli Haponiuk** w D.: Do druku trzeba pisać koniecznie tak, jak to ma być wydrukowane. Muszą być porobione należyte odstępy, jeżeli w utworze przytacza się czyjąś rozmowę, to odezwanie się każdej z osób powinno być rozpoczęte od nowego wiersza itp. A Pan, jak zaczął od pierwszej litery, tak skończył na ostatniej bez żadnej przerwy, wskutek czego trudno się zorjentować w całości. — **Zdzisław Rojkowski** w K.: Gdybyśmy na każdy drobiazg odpowiadali, trzebaby samemi odpowiedziami zadrukować całą „Rolę“. — **Czesław Wośkowski** w U.: Zagadki dobre, ale do druku trzeba pisać koniecznie po jednej stronie papieru. — **Antek Zerwikaptur:** A dlaczego nie podał Pan prawdziwego nazwiska, kiedy utwór dobry? — **S. J. Boruchowicz** w K.: Trudno nam na każdy drobiazg bez znaczenia odpowiadać. — **Neisser** w R.: Nadesłaną nowelę wydrukujemy. — **Czytelniczka „Roli“:** Pan wójt, jeżeli ma dwie córy, których się chce pozbyć, niech je pośle na wystawę do Poznania, a cudzego Maćka niech dla nich nie zatrzymuje. Nie dla psa kiełbasa. Za tak wydatne rozpowszechnianie „Roli“ serdecznie dziękujemy i wzajemnie przesyłamy miłe pozdrowienia. — **„Ben Chorin“** w K.: Ekspedycja „Roli“ odbywa się zawsze we czwartek po południu, więc już w piątek rano powinna być doręczona. — **Prozorski** w D.: Wierszyk zupełnie dobry, ale nieco spóźniony. Schowamy go do przyszłego roku. — **Józef Pachołek** w Ch. W.: W jaki sposób przesłać, zależy to od objętości. Jeżeli jest ona niezbyt wielka, to można posłać jako list, gdy większa, jako paczkę. — **Walerjan Wyroba** w M.: Zagadki zużytkujemy. — **Jan Schnee** w Rz.: Zagadki nie są drukiem, więc podlegają pełnej opłacie pocztowej. Dlaczego pisze Pan na takich małych świstkach, czy aby łatwiej się w stosach papierów zarzuciły? — **Józef Arczyński** w K.: Szarada zupełnie dobra. — **Krysia** z Wołynia: Z nadesłanej kwoty 5 zł. na prenumeratę zostało 1.25 zł. Maciuś jak Maciuś zgadza się na propozycję i w dalszym ciągu ze swojem gadaniem „jazda na Wołyń“. Wzajemnie pozdrawiamy Panią wraz z Maćkiem. — **Wł. Mróz** w P.: Zaległe numera posłaliśmy. — **Franciszek Klimczak** w St. W.: Perukę może Pan nabyć u fryzjera Hojnika w Krakowie, Kazimierza Wielk. 24. — **Janina Błażyczkowska** w Ż.: Jeżeli naczelnik gminy odpowiedział Pani, że odpowiada tylko za kawałki urzędowe, które do gminy przychodzą, to chyba wtedy też nie był trzeźwy. Nie będziemy się zapytywali urzędu poczt. w Makowie czy doręczył do gminy, bo to się stało z całą pewnością i na ten urząd pocztowy nikt się jeszcze nie żalił i po odpowiedzi Pani ile numerów „Roli“ zatracił, zaraz wniesiemy skargę do Starostwa w Makowie. Tam powiedzą mu o obowiązkach i przypomną okólnik ministerstwa spraw wewn. z roku 1927 o doręczaniu czasopisma „Roli“. Ładnego wójta wybrali sobie obywatele Żarnówki. Niech Pani będzie cierpliwa. Mamy nadzieję, że Starostwo wystąpi tu z całą surowością. — **Andrzej Supera** w S.: Prenumeratę zaliczyliśmy na dalszy okres, gdyż początkowych dwóch numerów nam brak.

Unieważnia się zgubioną książeczkę Nr. 183 na wkład 400 rubli carskich w złocie, wydaną dnia 12. VI. 1912 r. przez były „Poczajów Wołyński Narodny Kredyt“ na imię Jana Iwasyka, wsi Ryszkowce, gm. Wierzbowiec, pow. Krzemienieckiego. — Wołyń.

Zagadki do nagrody.

1. Trójkąt magiczny.

(Ułożył Jan Czeluśniak z W.).



Znaczenie wyrazów: 1) Szukany wyraz. 2) Nazwa spółki. 3) Upoważniony. 4) Przyrząd do grania. 5) Sfałszowanie. 6) Imię męskie. 7) Nazwa płaszczyzny. 8) Ubranie. 9) Zatrudnienie 10) Schronienie. 11) Roślina. 12) Zgłoska. 13) Samogłoska.

Rząd pierwszy poziomy i pierwszy pionowy z góry czytany utworzy imię i nazwisko sławnego pisarza-patrjoty i wieszcza narodu polskiego.

2. Szarada.

(Ułożyła Irena Kaczorówna z S.).

Pierwsze drugie to zajęcie rzemieślnika
Pierwsze drugie trzecie nazwisko czytelni-[ka.
Trzeciego do sportu używają,
Nieraz przy tem nagrody dostają.
Gdy uczciwy pierwsze czwarte,
Podwoje niebieskie ma otwarte.
Całość medycyna znana,
Na pewien ból używana.

3. Zagadki.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

I.

Wprost to czarownik,
A wspak wykrzyknik.

II.

Wprost wykrzykuje,
A wspak wskazuje.

(Ułożył Jan Weber z K.).

III.

Wprost dokoła Chin się ciągnie,
Wspak go pijak z sklepu ciągnie

IV.

Wprost się ciągnie przez długie doliny,
Wspak spędzał tam Adam długie godziny.

4. Zagadka astronomiczna.

(Ułożył Piotr Wenc Ś.).

Jowisz, waga, panna, skop, niedźwiadek, lew, koziorożec, strzelec, ryba, rak.

Z powyższych wyrazów wyjąć po jednej literze i w ten sposób je ułożyć, aby czytane dały imię i nazwisko znanego współpracownika „Roli“.

5. Kryptogram.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

. i e . . . . e u . . u . i e . a . . a .
. e . . u . . i e . . a . u . . i,
. i . . . . o . i e . . . . a . . ą
u . . . i ó ., . a . . i . . o . . ą
. u . . i

Dopełniwszy spółgłoski, odczytać wiersz Krasińskiego.

6. Układanki.

(Uł. Adam Galer z K.).

Roślina jadalna + zaimek wskazujący = Miejscowość w Polsce.

Pierwiastek chemiczny + okres czasu = Znak pisarski.

Samogłoska + posiada + droga = Miłośnik.

Restauracja + uplanowanie + zaimek = Miasto.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 4 maja.

Termin nadsyłania rozwiązań z poprzedniego numeru upływa 27 bm., a nie, jak mylnie wydrukowano 20 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 15 „Roli“: 1. Logogryf: Słowacki. 2. Zagadka głoskowa: Rok, dok, sok. 3. Układanki geograficzne: Paryż, Pomorze, Litwa, Pieniny, Krasnystaw, Pilica. 4. Szarady: I. Patagonja. II. Sobieski. 5. Kwadrat: Książę Jeremi Wiśniowiecki. Jan III Sobieski. Magellan R.

Rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Michał Bereś z S., Piotr Wenc z S., Czesław Wośkowski z U., Jan Gara z W., Stanisław Majcher z S., Ks. Maciej Suchodolski z T. i Stanisław Matuga z Ł.

Nagrody wylosowali pp.: Czesław Wośkowski z U. i Ks. Maciej Suchodolski z T.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Rozmowa z pijanym.

Policjant zatrzymuje na jezdni cyklistę, który jedzie lewą stroną ulicy i nie ma latarki:

— Jak się pan nazywa?

— Tak, jak mój ojciec.

— Ja to wiem.

— To dlaczego pan się pyta?

Pożyczy konia.

— Słuchajcie sąsiedzie. Sprzedam wam konia. Co dacie za niego?

— Dużą furę siana!

— Dobrze, ale co zrobię z sianem, skoro nie będę miał konia.

— I...o to się nie trapcie, pożyczę wam konia, póki nie zje siana.

Przy egzaminie.

— Proszę mi wyjaśnić na przykładzie, co to jest oszustwo?

— Pan profesor dopuściłby się oszustwa, paląc mnie przy egzaminie, gdyż ustawa powiada wyraźnie, że ten kto korzysta z nieświadomości drugiego, popełnia oszustwo.

Dobra odpowiedź.

Janie — karci proboszcz — mówiłem ci zawsze, że wódka jest twoim największym wrogiem.

— No tak, ale ksiądz proboszcz naucza, że trzeba kochać swoich wrogów.

— Owszem, nie twierdziłem jednak, że trzeba ich połykać.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 23 kwietnia b. r.

Pszenica	50·50—51·00	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto	34·50—35·00	Ziemniaki stoł.	10·00—11·00
Owies	35·50—35·50	Koniczyna nasienn. czer.	230·00—260·00
Jęczmień	33·00—34·00	Mąka żytnia	50·50—51·00
Fasola biała	180·00—190·00	Mąka pszen.	77·50—78·50
Groch zwyk.	58·00—62·00	Otręby pszen.	29·00—30·00
Siano słodk.	25·00—28·00	Otręby żytnie	27·00—27·50
Łubin żółty	40·00—42·00		

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 17 kwietnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·30 do 1·87 zł.	Jałownik	od 1·27 do 1·86 zł.
Woły	od 1·38 do 1·90 zł.	Cielęta	od 1·12 do 2·30 zł.
Krowy	od 0·83 do 1·70 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·15 do 2·80 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 2·15 do 3·50